

MIEJSCE URODZENIA

– historie lokalne spisane przez
uczniów Akademii Młodego
Obywatela Jana Karckiego, 2017 r.

**Historie zebrane przez młodzież
z Zakroczymia, Szewnicy, Górzna,
Trzcianki i Raciąża w 2017 r.**

Ciągle zbierając materiały do swojego dzieła i przepytując świadków, bardów i kapłanów, [Herodot] spotyka się z tym, że każdy z nich zapamiętuje co innego, co innego i inaczej. (...) Dotarcie więc do przeszłości jako takiej, takiej, jaka była ona naprawdę, jest niemożliwe, dostępne są nam tylko różne jej warianty, mniej lub bardziej wiarygodne, mniej lub bardziej dziś nam odpowiadające. Przeszłość nie istnieje. Są tylko jej nieskończone wersje.

Ryszard Kapuściński, *Podróże z Herodotem*

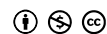
Dofinansowano ze środków Muzeum Historii Polski
w ramach programu Patriotyzm Jutra.



Koordinacja projektu i redakcja: Jakub Jaskółowski

Opracowanie graficzne, skład i druk: High Profile

© Fundacja Edukacyjna Jana Karłowkiego, Warszawa 2017



Niniejsza książka (*Miejsce urodzenia. Historie lokalne spisane przez uczniów Akademii Młodego Obywatela Jana Karłowkiego. 2017 rok*) podlega niniejszej licencji publicznej Creative Commons: CC BY-NC 4.0 (Uznanie autorstwa – Użycie niekomercyjne 4.0 Międzynarodowe).

Utwór podlega ochronie prawa autorskiego lub innych stosownych przepisów prawa. Korzystanie z utworu w sposób inny niż dozwolony na podstawie niniejszej licencji lub przepisów prawa jest zabronione.

Wykonanie jakiegokolwiek uprawnienia do utworu określonego w niniejszej licencji oznacza przyjęcie i zgodę na związanie postanowieniami niniejszej licencji.

ISBN 978-83-949986-0-8

SPIS TREŚCI

WSTĘP 00

CZĘŚĆ 1

SZEWNICA

Kacper Sadowski, *Łapy* 00

Ernest Suchenek, *Wyjazd taty* 00

Karolina Rodźko, *Pani Zosia* 00

Karolina Rodźko, *Młodość i brat* 00

Jakub Kursa, *Dziadek stawiał ludziom domy* 00

Oliwia Pietkiewicz, *Moi pradziadkowie* 00

Damian Biątek, *Każdy ma swój dom i swoje podwórko* 00

Jakub Piotrowski, *Sprawy najważniejsze* 00

Roksana Wojciechowska, *47 lat w Szewnicy* 00

Patrycja Matera, *W Szewnicy się zakochałem* 00

Piotr Danielewski, *Cmentarz w pobliskim lesie* 00

Janina Nowak, *Piasek na podłodze* 00

Justyna Powalska, Iwona Sadowska, *Z kroniki Szkoły Podstawowej w Szewnicy* 00

ZAKROCZYM

Joanna Kalinowska, *Historia moich dziadków* 00

Jakub Lewandowski, *Długa droga do szkoły* 00

Sandra Lesiak, *Warkocze w „koński ogon”* 00

Andżelika Apel, *Wspomnienia* 00

Kuba Szatkiewicz, *Początki nauczania* 00

Kamil Filipiak, *Czasy radości* 00

Aleksandra Mąka, *Pan Krzysztof* 00

Jakub Waśniewski, *Wspomnienia mojej babci* 00

Weronika Budnicka, *Modlitwy pod drzewem* 00

Adrian Ślubowski, *O Akademii Młodego Obywatela Jana Karckiego* 00

CZĘŚĆ 2

GÓRZNO

Jacek Gugąła, *Sukienka w gwiazdki* 00

Klaudia Prządka, *Strach i wesele* 00

Patryk Malinowski, *Brązowe trzewiczki* 00

Gabriela Sylwesiuk, *Trzy zegary we wsi* 00

Daniel Chmielewski, *Pisanie wierszy* 00

Weronika Makulec, *Łapanie wróbli* 00

Karol Wiącek, *Opowiedz mi, jak było kiedyś* 00

Gabrysia Galińska, *Wiersze, które znaliśmy* 00

Kamila Owczarczyk, *Wspomnienia z lat młodości...* 00

Iza Lis, *Radość z pary butów* 00

RACIĄŻ

Dominika Skierkowska i Krystian Fijałkowski, *Trzy lipy z raciąskiego rynku* 00

Aleksandra Włodarska, *Koleżanka z sąsiedztwa* 00

Paulina Kruszewska, *Najlepszy czas* 00

Piotr Ambrochowicz, *Szkoła w moim domu* 00

Karolina Trzcńska, *Cień wojny* 00

Zuzanna Wąsiewska i Aleksandra Derbin, *Trzęśtam się ze strachu* 00

Natalia Wiktorja Dębkowska, *Świat krochmalu i radości* 00

Aleksandra Szałkowska, *Obraz za mgłą* 00

Krzysztof Langiewicz, *Zachwiana równowaga* 00

TRZCIANKA

Filip Zdziarstek, *Gdy przychodzi najgorsze* 00

Oliwia Kurowska, *Trzcianka bez prądu* 00

Agnieszka Kurowska, *Dom pachnący drożdżowym ciastem* 00

Hubert Wróbel, *Dużo rozmawialiśmy* 00

Klaudia Pujer, *Utrata dzieciństwa* 00

Karolina Pułaska, *Pani Alina* 00

Maksymilian Bajor, *Babcia Grażyna* 00

Oliwia Nasiadka, *Z dawnych lat* 00

Zuzanna Zdziarstek, *Przy skubaniu gęsi* 00

Zofia Zalewska, *Jak było dawniej* 00

Wstęp

Drogi Czytelniku,

oto niezwykła publikacja, stworzona przez 107 osób, z których najstarsza ma 98 lat, a najmłodsza 13. Najmłodszy to uczniowie szkół mazowieckich w Szewnicy, Trzciance, Górznie, Raciążu i Zakrocymiu – uczestnicy Akademii Młodego Obywatela Fundacji Edukacyjnej Jana Karłowego. Tym najmłodszy udało się skłonić najstarszy do zwierzeń. Być może dla wielu była to pierwsza w życiu tak długa rozmowa nie z rówieśnikiem przecież, lecz z pradziadkami, dziadkiem lub babcią, ze świadkami innej epoki – życia sprzed pół wieku, a nawet sprzed blisko stu lat.

W ten sposób powstał zbiór historii o losach ludzi z krwi i kości, o ich życiu przed i w trakcie II wojny światowej, w czasach komunistycznej Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej i dziś, w wolnej Rzeczypospolitej. W ich pamięci są bolesne wspomnienia biedy i głodu, ciężkiej pracy w dzieciństwie i strachu okresu wojny, przeplatane chwilami wytchnienia i ulotnej szczęśliwości. Odbija się w nich historia rodzinnych wiosek i małych miasteczek, które były dla nich całym światem.

Kiedy poprosiliśmy uczniów z naszej Akademii o przygotowanie pracy pisemnej, poświęconej najstarszym mieszkańcom swoich miejscowości chcieliśmy, aby sami się przekonali, że wartości uosabiane przez Jana Karłowego, takie jak otwartość, empatia, tolerancja i zaufanie do drugiego człowieka, zaczynają się w miejscu naszego pochodzenia. Tam – w najbliższym otoczeniu i w jego przeszłości, w rodzinie, grupie koleżeńskiej oraz w szkole – kształtuje się nasza tożsamość.

Historie przedstawione w tej, stworzonej przez młodzież, publikacji mówią wiele o naszym wspólnym, polskim domu. Nie rodzimy się z Polską. To Polska rodzi się w każdym z nas. Nasza ojczyzna zaczyna się w najbliższym otoczeniu i dojrzewa z każdym kolejnym krokiem dalej, poza znaną wcześniej przestrzeń i znajome twarze.

Rozmowy najmłodszych z najstarszymi były kwintesencją projektu Akademii Młodego Obywatela Jana Karłowego w 2017 roku, której nadrzędnym celem było m.in. przybliżenie młodzieży mechanizmów

funkcjonowania demokratycznego państwa prawa, popularyzowanie idei społeczeństwa obywatelskiego, a także uwrażliwienie młodych Polaków na sprawy tolerancji i patriotyzmu – w duchu patrona fundacji, legendarnego kuriera Polskiego Państwa Podziemnego.

Pamiętacie? – pytam uczniów i ich nauczycieli, czytając te słowa uczestników Akademii – jak podczas jednych z warsztatów tegorocznej Akademii staliśmy na placu Grzybowski w Warszawie, w pięknym wrześnieowym słońcu. W zasięgu wzroku był katolicki kościół Wszystkich Świętych, synagoga im. Nożyków oraz przedwojenne kamienice przy ulicy Próźnej, które przetrwały zagładę getta, a potem powstanie warszawskie. A w tle górował nad nami Pałac Kultury i Nauki, wrosły już w pejzaż miasta, niczym blizna polskiej stolicy po bolesnym okresie komunistycznym. Plac Grzybowski jest więc wymownym skupiskiem symboli, jakich wiele w Polsce – świadczących o niezwykle splątanej, najnowszej historii naszego kraju. Ta zawitość ma swoje odbicie również w zawartych w tej książce tekstach uczniów.

W spisanych przez nich opowieściach przewija się xx-wieczna historia: od przedwojennej nędzy uboższych warstw ludności poprzez traumę czasów wojny i zagładę Żydów – po dramatyczne próby odbudowy życia po wojnie. Te historie są indywidualne i różne, ale mają wiele punktów wspólnych. Bohaterowie tej książki to najczęściej ludzie żyjący w cieniu straty: dzieciństwa, bliskich osób, przyjaciół albo rodzinnego domu. Jednocześnie wielu wspomina ten czas z nostalgią. Byli przecież kiedyś młodzi, zakochani, silni i pełni marzeń o lepszym życiu swoim i rodzin.

Są w tych opowieściach osobiste dramaty i tragedie, które indagowani powierzyli pytającym je dzieciom. A powtarzającym się często motywem, zwłaszcza u najstarszych osób, jest wojna i utrata poczucia bezpieczeństwa. O tym, jak katastrofalnie wpłynęła ona na rozwój kilku pokoleń Polaków wiemy wciąż niewiele, ale czytając tę publikację spostrzeżenie Państwo, że trauma wojenna jest stałym elementem wielu wypowiedzi. Czy są to krótkie reminiscencje z przedwojennej Polski, wspomnienia po nieistniejącym świecie wielu narodów, czy o narzuconym Polsce po wojnie ustroju, w którym wychowało się i spędziło

młodość kilka pokoleń Polaków, to II wojna światowa i jej konsekwencje – po przeszło 70 latach – stanowią punkt odniesienia dla postaw i postrzegania rzeczywistości przez wielu Polaków.

Tożsamość Jana Karskiego, patrona naszej fundacji, ukształtowała przedwojenna Łódź, wówczas wielonarodowe miasto zamieszkałe przez Polaków, Żydów, Rosjan i Niemców. Pochodzący z katolickiej rodziny, ale otwartej na innych, młody Jan przyjaźnił się i chodził do szkoły z żydowskimi kolegami. Szacunku do drugiego człowieka, bez względu na jego pochodzenie, nauczył się w swoim rodzinnym mieście. Pod koniec swojego życia wracał do tej tożsamości pisząc:

...Moja jednak świadomość, charakter i osobowość wyłaniały się w Polsce. Poprzez ten język, te realia i tych ludzi. Wracam zatem do źródeł.
oraz:

Tak naprawdę ja mentalnie stąd nie wyjechałem. Bez tamtej Łodzi pewnie nie byłoby dzisiejszego Karskiego. Łapię się często na tym, że bez tej Łodzi też mi jakoś w Waszyngtonie nieswojo. Sięgam wtedy po „Kwiaty polskie”.

Historia młodości Jana Karskiego pokazuje, że relacji z drugim człowiekiem uczymy się w miejscu urodzenia. To, jak zwracamy się do siebie i jak traktujemy w rodzinie i w swojej miejscowości, kształtuje naszą wrażliwość i stosunki z innymi ludźmi na całe życie. Wyniesiony z domu szacunek do własnej historii i samego siebie, poczucie dumy i godności, pozwalają nam traktować z respektem innych, niezależnie od ich pochodzenia, religii czy koloru skóry.

Jest więc Akademia także nauką o tolerancji i poszanowaniu praw ludzkich. Treść tej książki mówi wiele o rzeczywistości, w której te prawa były łamane, a pochodzenie człowieka decydowało o jego życiu bądź śmierci. Szacunek do naszej historii i cierpień przeszłych pokoleń musi więc wyrażać się również w niezgodzie na dyskryminację. Eleonora Roosevelt, niestrudzona obrończyni praw ludzkich, małżonka prezydenta Stanów Zjednoczonych Franklina Delano Roosevelta (który w 1943 roku na osobistej audiencji wysłuchał relacji Karskiego o zagładzie Żydów w okupowanej Polsce) napisała w 1958 roku:

Gdzie tak naprawdę zaczynają się uniwersalne prawa człowieka? W niepozornych miejscach, blisko naszego domu – tak bliskich i niepozornych, że nie da się ich oznaczyć na żadnej mapie świata. A jednak to jest świat każdego człowieka; środowisko, w którym żyje, szkoła albo uczelnia, do której uczęszcza, fabryka, gospodarstwo albo biuro, w którym pracuje. To są miejsca, w którym każdy mężczyzna, każda kobieta i każde dziecko oczekują takiej samej dla wszystkich sprawiedliwości, równych szans i równego traktowania bez dyskryminacji. Jeśli te prawa będą miały małe znaczenie w tych miejscach, będą miały równie niewielkie znaczenie gdzie indziej.

Akademia miała pomóc jej młodym uczestnikom uświadomić sobie, że to właśnie od nich zależy, jak w przyszłości będzie wyglądać Polska. Pragniemy, aby mieli szansę mieszkać w kraju szanującym każdego bez względu na to, skąd jest i jaką ma osobistą historię. W kraju, który potrafi docenić wspólny wysiłek obywateli zaangażowanych na rzecz lokalnej społeczności.

Chcieliśmy pokazać, że angażując się w nasz projekt, poświęcony ich najbliższemu otoczeniu, młodzi ludzie są w stanie razem stworzyć coś wartościowego i ponadczasowego. Wierzymy, że dzięki tej pracy łatwiej im będzie zrozumieć zależność pomiędzy losami indywidualnych, często bliskich im ludzi, a kształtem społeczności, w której urodzili się i rosną, aby stać się świadomymi obywatelami wspólnej ojczyzny. To w naszych małych społecznościach – w Zakroczymiu, Szewnicy, Górznie, Raciążu, Trzciance – zaczyna się poznawanie świata i zmienianie świata na lepszy.

Ewa Junczyk-Ziomecka

Prezes Zarządu Fundacji Edukacyjnej Jana Karskiego

CZĘŚĆ I

Szewnica

„Owoce cytrusowe pojawiały się w sklepie tylko przed Świętami Bożego Narodzenia”.

„Gdy miał 18–20 lat chodził na dyskoteki do Sitnego, Nowinek czy Mokrej Wsi”.

„Pamiętacie? – pytam uczniów i ich nauczycieli”.

„Latały nisko samoloty i warczały, było to bardzo przerażające. Moja mamusia wzięła mojego młodszego brata Polusia na rękę i biegliśmy przez las”.

„Niemcy wyrzucili ich z domu, w którym sami zamieszkali”.

„Lej pierwsze wspomnienia związane z Szewnicą to góry piachu, niewiele zabudowań, pola lnu pod lasem i kobiety, które go wyczesywały”.

„[...] tu się zakochałem”.

„Najmilej wspominam czasy młodości, a szczególnie kiedy poznałem swoją żonę”.

„[...] jeśli uczniowie nie słuchali nauczyciela, to dostawali „łapy” – klapsy wymierzane w dłonie”.

„Dziś każdy ma swój dom i swoje własne podwórko”.

Łapy

Kacper Sadowski, klasa VI

– historia babci

Moja babcia urodziła się w 1953 roku w Szewnicy. Stąd pochodziła również jej mama, natomiast jej tata był z Zabrodzia. Babcia była najmłodsza z rodzeństwa, miała starszego o dwa lata brata Zdzisława, który zmarł w 1988 roku. Babcia ma również starszą siostrę Jadwigę, która także mieszka w Szewnicy.

Moi pradziadkowie, rodzice mojej babci, zajmowali się pracą w gospodarstwie. Mieli pięć i pół hektara ziemi, budynki gospodarskie, konia, kilka krów, kury. Uprawiali żyto, owies, ziemniaki i warzywa. Praca w gospodarstwie była ciężka, zwłaszcza podczas żniw, gdyż kosiono się kosą, a zboże trzeba było ustawiać w kopki, które potem wozem konnym zwoziło się do domu. Po pewnym czasie trzeba je było wymłócić. Podczas wykopków też pracowano ręcznie, posługiwano się motyką.

Naukę babcia rozpoczęła w wieku sześciu lat, kiedy zaczęła uczęszczać do pierwszej klasy. Szkoła znajdowała się aż w trzech budynkach, oddalonych od siebie. „Zielona szkoła” (którą nazywano tak, bo była w zielonym kolorze), była budynkiem gminnym. W klasie babci było 18 uczniów. Dwie osoby powtarzały klasę, bo kiedyś, jeśli ktoś się nie uczył, to nie zdawał do następnej klasy. Pozostali uczniowie byli z tego samego rocznika. Najlepszymi koleżankami babci były: Hanna Winnicka, Stanisława Winnicka i Barbara Kowalczyk. Z Hanną Winnicką babcia przyjaźniła się też w latach późniejszych, była ona świadkową na ślubie mojej babci.

W szkole podstawowej niektóre przedmioty miały nazwy takie same, jak dzisiaj, a niektóre nazywały się inaczej. Była historia, język polski, język rosyjski, chemia, biologia, geografia. Dzisiaj mamy zajęcia techniczne, a w tamtych czasach były to prace ręczne, na których uczono rzeczy przydatnych w codziennym życiu: cerowano skarpety, robiono

miotły, szaliki na drutach. Był przedmiot gimnastyka, a nie – jak teraz – wychowanie fizyczne, nazywane też „wuefem”. Dzieci przeważnie grały w piłkę i bawiły się w „dwa ognie”.

Ulubionym przedmiotem babci była matematyka, bo lubiła liczyć, rozwiązywać zadania i robiła to bardzo szybko. Często zgłaszała się do odpowiedzi, pomagała innym. Ale opowiadała też, że jeśli uczniowie nie słuchali nauczyciela, to dostawali „łapy” – klapsy wymierzane w dłonie. Tylko że wówczas dzieci nie skarżyły się w domu rodzicom, bo było im wstyd przyznać się, że otrzymały karę od nauczyciela. W szkole pracowało wielu nauczycieli np. Maria Saks, która uczyła języka polskiego, pan Edmund Sokołowski, pani Danuta Sokołowska.

Szewnica to mała wieś, ale z bogatą historią. Przed wojną mieszkali tu Żydzi, a po sąsiedzku mieszkaly rodziny należące do świadków Jehowy. Kilka kilometrów od Szewnicy, w okolicy Jadowa jest stary i zniszczony cmentarz żydowski, ponieważ przed wojną w Jadowie i Łochowie mieszkało wielu Żydów.

Po ukończeniu szkoły podstawowej babcia rozpoczęła naukę w szkole zawodowej i zdobyła zawód sprzedawcy. Od 1971 roku przez dziesięć lat pracowała w sklepie w Jadowie, a potem w Szewnicy. Praca w sklepie była zupełnie inna niż dzisiaj. Przede wszystkim towar ważono na wadze z metalowymi odważnikami. Do sklepu przywożono w dużych 50 kg workach cukier, sól – i trzeba to było ważyć. Dokładnie tyle, ile klient chciał. Smalec nie był w kostkach, tylko w dużych taflach i również był ważony i pakowany w szary papier. Sprzedawano marmoladę w wiaderkach, bo nigdzie nie było dżemu. Kapusta, śledzie, ogórki kwaszone przechowywano w dużych drewnianych beczkach. Cukierki do sklepu przywożono w kartonach. Trzeba było zwijać papierowy rulonik, do którego sprzedawczyni wsypywała cukierki i je ważyła. Była też duża waga, na której ustawiano duże worki, bo czasem były one otwarte i wtedy należało sprawdzić, czy ilość się zgadza z tym, co zapisano w fakturze. Jeśli się nie zgadzała, wówczas sprzedawca musiał zapłacić za brakującą ilość.

Klienci nie mogli kupować tyle ile chcieli, bo towar był na kartki, pod przydziałem. Kartki były na cukier, mięso, papierosy... Potem te

kartki babcia musiała segregować i przyklejać w specjalnym zeszycie, aby je rozliczyć w GS¹ Jadów. Towar był przywożony w określone dni tygodnia lub miesiąca zawsze było go za mało, a kupujących za dużo. Ludzie bardzo się kłócili, gdy stali w kolejce.

Owoce cytrusowe pojawiały się w sklepie tylko przed Świątami Bożego Narodzenia. *Były to ciężkie czasy* – wspomina babcia.

Babcia pracowała również w Warszawie, w firmie „Polfer”², w dziale produkcji, jako szlifierz wyrobów ferrytowych – elementów do polskich telewizorów kineskopowych. Była to praca trzymianowa. Aby zdążyć na pierwszą zmianę należało jechać pierwszym pociągiem, który odchodził około 4 rano. Nie było pociągu bezpośredniego, a tylko z przesiadką w miejscowości Tłuszcz.

Najmilej babcia wspomina czasy szkolne, bo czas spędzany był głównie na zabawie – w klasy, w kapsle, w chowanego, w podchody. Najgorzej dzieciom było w okresie żniw i wykopków, bo było dużo pracy w polu. Nawet w wakacje trzeba było pomagać w domu i w polu, np. paść krowy u siebie lub u sąsiadów.

Wydarzenie z dzieciństwa, które najbardziej babci utkwilo w pamięci, było bardzo smutne: kiedy miała 4 lata, zmarł jej tata. Babcia mówi, że bardzo dobrze to pamięta.

Szewnica na przelocie kilkudziesięciu lat bardzo się zmieniła. Przede wszystkim budynki są teraz murowane, zarówno gospodarskie jak i mieszkalne. Kiedyś zaś były drewniane, kryte słomą. Tylko niektóre podwórka były ogrodzone, a dziś stoją różnorodne parkany, wokół domów rośnie niska trawa, regularnie koszona. Ludzie sadzą krzewy ozdobne, kwiaty, wykładają podjazdy kostką brukową. Dawniej mieszkańcy nie mieli w domach bieżącej wody, na podwórkach były studnie. Nie było centralnego ogrzewania – cały dom ogrzewały kuchnie kaflowe lub gliniane albo tzw. trocinaki, w których palono trocinami. Drogi były nieutwardzone – pierwszy asfaltowy odcinek drogi powstał w Szewnicy

1 Gminna Spółdzielnia – spółdzielnie handlowo-usługowe powstałe w czasach PRL.

2 Zakład Materiałów Magnetycznych (ZMM) „Polfer” – polskie państwowe przedsiębiorstwo produkcyjne z branży elektronicznej, działające w latach 1956–1999.

około 1984 roku. Zabiegała o to ówczesna dyrektor szkoły pani Teresa Ślusarz, gdyż droga była ciągle nieprzejezdna.

Nie było chodników, wyasfaltowanych dróg, oświetlenia ulicznego, ani nowoczesnego tunelu pod torami kolejowymi. Teraz nasza miejscowość wygląda pięknie.

Wyjazd taty

Ernest Suchenek, klasa VI

– historia cioci

Moja ciocia urodziła się w 1932 roku w Bielsku koło Płocka, a potem zamieszkała w Szewnicy. Jej rodzice pracowali w gospodarstwie rolnym, gdzie większość prac wykonywali ręcznie: wykopywali kartofle, kosili trawę kosą, grabili, i stawiali kopki w czasie żniw. Była to bardzo ciężka praca. Dla świnek trawę kosito się w ladzie¹, a jedzenie roznosiło wiaderkami.

Do szkoły ciocia poszła w 1945 roku, gdy miała 13 lat, Ponieważ umiała się podpisać od razu rozpoczęła naukę w klasie czwartej. Wcześniej do szkoły nie chodziła, bo trwała wojna. W klasach było bardzo dużo dzieci, w różnym wieku, również o wiele starszych niż te w wieku szkolnym. W szkole głównymi przedmiotami były język polski, matematyka, przyroda, geografia. Przez pewien czas wszystkich przedmiotów uczył tylko jeden nauczyciel, potem było ich kilku. Niestety ciocia nie pamięta żadnych nazwisk, ma już 85 lat, przyjmuje dużo leków, które też wpływają na jej pamięć.

Najgorzej wspomina czasy wojny, a najlepiej okres od 1952 roku, kiedy sama zaczęła nauczać w szkole podstawowej.

Z lat dzieciństwa pamięta 1 września 1939 roku, kiedy przyjechał żołnierz na koniu i powiedział jej tacie, żeby się szybko ubrała. A mojej cioci i jej rodzeństwu kazał się schować, bo miało być bombardowanie. Tata z żołnierzem odjechali na koniu, do wojska. Daleko, bo aż do Modlina, i wtedy ciocia po raz ostatni widziała swojego tatę.

¹ Potoczna nazwa sieczkarni ręcznej, służącej do cięcia stomy, trawy i innych roślin, na sieczkę

Pani Zosia

Karolina Rodźko, klasa VI

– historia pani Zofii Ciesielskiej

Wywiad przeprowadziłam z sąsiadką, panią Zofią Ciesielską, która urodziła się w Bielanach koło Strachówki. Jej mama pochodziła z Nowinek, a siostra mamy, która mieszkała w Szewnicy, namówiła ich na przeprowadzkę tutaj. Jako szesnastolatka pani Zosia zamieszkała w Szewnicy wraz z rodzicami.

Jej pierwsze wspomnienia związane z Szewnicą to góry piachu, niewiele zabudowań, pola lnu pod lasem i kobiety, które go wyczesywały. W dzieciństwie miała głównie dużo obowiązków i pracy. W domu było dwanaścioro dzieci, wszystkie pomagały rodzicom – pasaty krowy i zatrudniały się u innych gospodarzy. Nie było czasu wolnego, jedynie czasem bawiły się szmacianą piłką. Rodzice przed przeprowadzką do Szewnicy pracowali w gospodarstwie, a potem tata pani Zosi pracował w Warszawie na budowie. Mama zajmowała się wówczas dziećmi i pracami domowymi.

Pani Zosia poszła do szkoły, kiedy miała 8 lat i ukończyła cztery klasy szkoły podstawowej. W klasie było ich piętnaścioro. Dzieci były w podobnym wieku, ale nie z jednego rocznika. Nauczano wtedy w szkole języka polskiego i matematyki, oba te przedmioty były bardzo lubiane przez panią Zosię. W szkole pracowało tylko dwóch nauczycieli – państwo Dobrowolscy.

Najlepiej wspomina te czasy, kiedy sama zaczęła zarabiać. Pracowała wówczas w Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych¹, a później w szkole muzycznej jako sprzątaczką.

¹ Państwowa Wytwórnia Papierów Wartościowych (PWPW) – polskie przedsiębiorstwo znajdujące się pod kontrolą skarbu państwa, zajmujące się m.in. produkcją banknotów, dokumentów, druków zabezpieczonych i naczków pocztowych.

Najgorsze wspomnienia dotyczą dzieciństwa, bo wtedy była wojna. Pani Zosia ze łzami w oczach wspomina, jak uciekała z krową przed niemieckim żołnierzem, który chciał jej odebrać krowę, mimo że tłumaczyła, iż jest ich w domu dwanaścioro i nie będą mieli co jeść. Na szczęście przyszedł drugi żołnierz i kazał jej odejść z krową. Wojna to była bieda i brak jedzenia. Niemcy wyrzucili ich z domu, w którym sami zamieszkali. Lecz gdy dostawali prowiant, to dzielili się z dziećmi jedzeniem. Gorzej wspomina żołnierzy sowieckich, którzy zabierali im wszystko.

W dzieciństwie jedli głównie gotowane ziemniaki i zupy, np. „chołojec” – zupę z mąki razowej, którą napętliali żołądki. W domach, w których było dużo dzieci, była straszna bieda. Po wojnie było lepiej. – *Święta w dzieciństwie były zupełnie inne niż teraz, ozdoby na choinkę robiła mama.* – opowiada pani Zofia. – *Na Wigilię dzieliliśmy się opłatkiem, jedliśmy ziemniaki, śledzie, surową lub gotowaną kapustę z grzybami, placki na oleju z siemienia lnianego.*

Szewnica bardzo się zmieniła, kiedyś nie był tylu domów, podwórek i płotów, dróg. Droga była jedna przez całą wieś. Na ulicy, przy której mieszka pani Zosia, kiedyś były tylko cztery studnie. Prąd został podłączony w 1963 roku.

Nasz kościół wybudowano w 1958 roku, bez planów i żadnych dokumentów, więc milicja go oplombowała (dwie plomby pozostały do dziś). Mieszkańcy wystali kobiety w ciąży, aby zerwały te plomby, ponieważ uważano, że kobiet ciężarnych milicjanci nie ośmielą się ruszyć. W końcu władze przestały walczyć z mieszkańcami o kościół. Jedynie na właściciela działki nałożono karę, na którą solidarnie złożyli się wszyscy mieszkańcy miejscowości. Pierwsza droga asfaltowa powstała dzięki dyrektor szkoły – Teresie Ślusarz. Wcześniej po deszczach było błoto i nie można było się dostać na stację kolejową.

Zimą dzieci miały tutaj raj – były wysokie góry, na których dzieciaki całymi dniami jeździły na sankach.

Młodość i brat

Karolina Rodźko, klasa VI

– historia wujka

Wujek urodził się w 1951 roku w Jadowie. Jego ojciec pracował na kolei i dostał służbowy dom przy przejeździe na Dębem koło Szewnicy. Mama wujka zajmowała się domem i gospodarstwem domowym, mieli kury, króliki i krowę.

Pierwsze wspomnienie z Szewnicą, to dom który stawiał jego ojciec i w którym mieszka do dzisiaj. Pamięta, że wcześniej była tu tylko komórka, a dom jeszcze w budowie. Mieli wtedy krowę, którą wujek z samego rana przyprowadzał na łańcuchu i zostawiał właśnie w tej szopie. W 1958 roku wujek poszedł do szkoły podstawowej. Przez pierwszy rok, kiedy jeszcze mieszkali w Dębem, chodził do szkoły w Szewnicy, do której miał kilka kilometrów. Szkoła była siedmioklasowa. W klasie było ich piętnastoro. Uczyli się języka polskiego, rosyjskiego, matematyki, historii, geografii, biologii. Jego ulubionym przedmiotem zawsze była matematyka.

W szkole działało sko (Szkolna Kasa Oszczędności), na które zawsze wpłacał 5 złotych, otrzymywane od swojego brata. Spośród nauczycieli pamięta panią dyrektor Tadeusiak, która wywoływała dzieci do tablicy, a później patrzyła w okno i nie słuchała odpowiedzi. Nieważne jak dobrze się odpowiadało, pani pytała: „Czy masz jeszcze coś do powiedzenia?”, po czym stawiała trójkę.

Wujek pracował w administracji, był pracownikiem biurowym w „Spółdzielni Inwalidów” w Wołominie, gdzie nadzorował pracę w stołarni, a kiedy ta się spaliła, to zaczął pracę w spółdzielni „Współpraca”.

W Szewnicy niewielką kaplicę mieli Świadkowie Jehowy. Jedna taka rodzina mieszkała nawet w bliskim sąsiedztwie mojego wujka, a wśród nich jego koleżanka. — *Kiedyś przyszła do [naszego] domu – wspomina wujek – a moja mama robiła akurat kaszankę i ją poczęstowała. Ona*

zjadła ją szybko i po kryjomu, żeby nikt z jej rodziny nie przytapał jej na tym, ponieważ obawiała się, że nie będzie mogła więcej do mnie przychodzić.

Wujek najlepiej wspomina młodość. Gdy miał 18–20 lat chodził na dyskoteki do Sitnego, Nowinek czy Mokrej Wsi. Jednym z najtrudniejszych momentów w jego życiu była informacja o wypadku, w którym jego brat stracił obie nogi.

Szewnica bardzo się zmieniła od czasów jego dzieciństwa. Wtedy budynki były pokryte strzechą, a drogi nie nadawały się do użytku. Nie było ogrodzeń na podwórkach, a zimą nikt nie odśnieżał dróg i nie można było dojść do stacji kolejowej.

Wojnę zna tylko z opowieści, natomiast pamięta stan wojenny, który ogłoszono 13 grudnia 1981, a on akurat 16 grudnia musiał jechać do Warszawy. Nie mógł kupić biletu, bo nie miał pozwolenia na wjazd do miasta. Miał bilet miesięczny, na który mógł dojechać tylko do Ossowa, bo tam pracował, a dalej musiał udać się bez biletu, ale udało mu się. Bardziej obawiał się drogi powrotnej, gdyż także biletu w drugą stronę nie mógł kupić, a ciągle chodzili kontrolerzy, którzy cały czas sprawdzali podróżnych.

Dziadek stawiał ludziom domy

Jakub Kursa, klasa VI

– historia dziadka

Dziadek urodził się w 1942 roku. Jego rodzice posiadali gospodarstwo, w którym pomagał. W tych czasach nie było takich udogodnień jak traktory, czy inne maszyny, a podstawowe czynności były wykonywane ręcznie. W niedzielne popołudnia mój pradziadek zabierał mojego dziadka na ryby. Obaj bardzo lubili wspólnie wędkować.

Dziadek poszedł do szkoły w wieku 6 lat, a było to w 1948 roku. W klasie było 15 uczniów. Uczył się języka polskiego i matematyki, którą bardzo lubił. Po szkole podstawowej poszedł do pracy i przyuczał się do zawodu murarza, a potem zajmował się budowaniem domów.

Dziadek miał kolegę, który był Żydem.

Najlepiej wspomina czasy szkolne.

Moi pradziadkowie

Oliwia Pietkiewicz, klasa VI

– historia pradziadków Jana i Janiny Kokoszków

Mój pradziadek urodził się w 1942 roku w miejscowości Olszyny, dziś części Szewnicy, i mieszka tu do dziś. Tata dziadka zajmował się stolarzką do roku 1949. Następnie zaczął pracę w Warszawie jako cieśla przy budowie elektrociepłowni Żerań¹. Pierwszym wspomnieniem mojego dziadka, które bardzo utkwiło mu w pamięci, to kwaterowanie wojsk radzieckich w domu pod lasem.

W czasach jego młodości dzieci w Szewnicy głównie pomagały rodzicom w pracach rolnych, a w wolnych chwilach grały w piłkę. Natomiast zimą jeździły na sankach i łyżwach.

W 1947 roku dziadek poszedł do przedszkola, które mieściło się w domu państwa Czerwińskich, a rok później do pierwszej klasy szkoły podstawowej. Wychowawczynią była pani Władysława Kunechowicz, w klasie drugiej pani Krystyna Kajzer, a w trzeciej i czwartej pani Krystyna Górecka. Po skończeniu czwartej klasy uczęszczał do Publicznej Szkoły Podstawowej w miejscowości Urle. Kierownikiem była tam pani Genowefa Poszkadzka, a wychowawczynią dziadka – pani Wanda Mackiewicz.

Ze szkoły w Szewnicy dziadek pamięta do dziś żyjących kolegów i koleżanki: Wandę Balcerzak, Zofię Wójcik, Teresę Gałązkę, Czesławę Kokoszkę, Henryka Lubiaka i Jerzego Pióro. – *Głównymi przedmiotami w szkole był język polski, matematyka, historia i język rosyjski.* – wspomina. – *Do jednej klasy chodził ze mną Wojtek Litwin narodowości żydowskiej, bardzo go wszyscy lubiliśmy.*

Po ukończeniu szkoły dziadek wyuczył się na mechanika maszyn, a potem pracował jako mechanik silników wysokoprężnych.

¹ Elektrociepłownia Żerań była budowana w latach 1952–1956. Jest drugim co do wielkości źródłem ciepła dla polskiej stolicy.

Moja prababcia: — *Zmiany w Szewnicy są ogromne. Dawniej na drogach było błoto i piach, a dziś asfalty i chodniki. Kiedyś nie było dojazdu do stacji PKP, a dziś piękny wiadukt. Są sklepy, szkoła z oddziałem przedszkolnym, plac zabaw. Nasza miejscowość zalicza się do jednej z najładniejszych w gminie.*

Każdy ma swój dom i swoje podwórko

Damian Białek, klasa VI
– historia dziadka Mariana Białka

Mój dziadek Marian Białek urodził się w styczniu 1943 roku w Szewnicy. Rodzice dziadka zajmowali się rolnictwem, a dziadek pomagał im w gospodarstwie. Jak mówi, nie miał czasu na zabawę. — *Po wojnie były ciężkie czasy, panowała wielka bieda* – wspomina. Tam, gdzie mieszkał dziadek stały czworaki, w których mieszkały rodziny. Dziś każdy ma swój dom i swoje własne podwórko. Do szkoły dziadek poszedł w Nowinkach w 1950 roku, a w jego klasie było 12 osób. Dyrektorem był tam pan Stanisław Powierza.

Sprawy najważniejsze

Jakub Piotrowski, klasa VI

– opowieść dziadka Grzegorza Prusaka

Urodziłem się w 1949 roku. Pochodzę z miejscowości Sitne. Miałem wesołe dzieciństwo i pomagałem rodzicom w pracach polnych. W lecie po cięższej pracy chodziliśmy nad staw się kąpać, gdyż w domach nie było łazienek. Trzeba było myć się w misce. Zimą było więcej czasu wolnego, więc chodziliśmy z chłopakami grać w hokeja na pobliskim stawie. Zimy były mroźne i śnieżne, więc lód miał grubą warstwę. Do szkoły poszedłem w 1956 roku. W klasie było 20 osób. Przedmioty które pamiętam to język polski, matematyka, historia, geografia i fizyka. Najbardziej lubiłem język polski i geografię. Pamiętam nauczycieli, którzy żyją do dziś i chciałbym się z nimi spotkać. Umieeli przekazać mi wiedzę, którą do dziś pamiętam, mam do nich wielki szacunek. Po ukończeniu szkoły w Szewnicy, poszedłem do szkoły zawodowej w Warszawie i zdobyłem zawód elektromontera sieciowego. Mam 68 lat i całe życie wspominam bardzo mile. Mimo niedostatku najważniejsze jest zdrowie, rodzina oraz to żeby być dobrym dla innych.

47 lat w Szewnicy

Roksana Wojciechowska, klasa VI

– wspomnienia prababci Jadwigi Korpalskiej

Moja prababcia urodziła się w 1936 r. w Szewnicy w rodzinie Węctawków. Jej mama nazywała się Stanisława, a tata Tomasz.

– Jako dziecku najbardziej utkwiał mi w pamięci pierwszy dzień wojny w 1939 roku. – wspomina babcia. – Miałam wtedy 3 i pół roku. Lataty nisko samoloty i warczały, było to bardzo przerażające. Moja mamusia wzięła mojego młodszego brata Polusia na ręce i biegliśmy przez las. Ukryliśmy się w rowie pod drzewami, gdzie czekała na nas moja babcia Józia. Podczas ucieczki przez las miałam w rączce figurkę Św. Antoniego i ją zgubiłam. Były to bardzo ciężkie czasy, mamusia wychowywała nas sama, bo tatuś poszedł na wojnę. Z wojny już nie wrócił. Jak się później dowiedziałam zginął na początku wojny, ale nigdy nie znalazłam jego grobu, chociaż szukałam.

Z wojny pamiętam jeszcze, że w pobliskim Jadowie było getto, które całe ogrodzone było drutem kolczastym. Pewnej nocy było stamtąd słychać strzały, a na drugi dzień mieszkańcy Szewnicy dowiedzieli się, że Niemcy zastrzelili wszystkich Żydów w Jadowie.¹

Moja mama musiała ciężko pracować żeby nas utrzymać. Jedzenie było na kartki i żeby je kupić trzeba było chodzić pieszo 5 kilometrów do Jadowa. W 1946 roku miałam 9 lat. Poszłam do szkoły, w której były 4 klasy i dzieci w różnym wieku. Znaliśmy się wszyscy, bo pochodziliśmy z jednej miejscowości. Po szkole musiałam opiekować się młodszym bratem i pomagać w domu. W szkole uczyliśmy się języka polskiego, matematyki i geografii. Matematyka była moim ulubionym przedmiotem. Zapamiętałam dwoje nauczycieli – panią Mazurek i pana Zawiszę.

¹ Getto w Jadowie zlikwidowano jesienią 1942 roku. Większość jego mieszkańców wywieziono do obozu w Treblince. Ukrywających się na terenie getta szukano przez kilka dni i systematycznie zabijano.

Pan Zawisza wynajmował pokój u pani Roguskiej. To była młoda wdowa i bardzo ładna kobieta. Wcześniej został zabity jej mąż, który nosił nazwisko Roguski.

Po wojnie przychodził do niej w zaloty pan z UB¹. Pewnego wieczoru nieodpowiednio się zachowywał i pani Roguska wołała o pomoc. Pan Zawisza wynajmujący u niej pokój chciał jej pomóc, ale wówczas ten człowiek go zastrzelił. Ciężko ranny pan Zawisza dotarł jeszcze do swojego pokoju i tam stękał z bólu. Ten człowiek z UB poszedł do niego i go dobił. Oprawca miał ze sobą latarkę, z której wypadła kartka i po tej kartce doszli, że to on zabił. Pani Roguska i jej mąż pochowani są na cmentarzu w Jadowie i do dnia dzisiejszego zapalam tam znicze.

Gdy byłem trochę starsza, to młodzież organizowała zabawy tańeczne we wsi w tzw. „grzybkach”, czyli na scenie z ubitych desek i udekorowanej gałązkami brzoźek. Pozwalano nam potańczyć do ósmej wieczorem.

Mając 16 lat zaczęłam pracować w Warszawie. W 1958 roku wyszłam za mąż, urodziłam pięcioro dzieci. Przez 47 lat mieszkałam w Szewnicy, a obecnie mieszkam w Warszawie.

¹ Urząd Bezpieczeństwa Publicznego, potocznie – Urząd Bezpieczeństwa (UB) – organizacja mająca na sumieniu dziesiątki tysięcy ofiar – komunistyczny urząd formalnie powołany do ochrony bezpieczeństwa państwa, a faktycznie zwalczający wszelkie formy oporu w okresie utrwalania władzy komunistycznej w Polsce.

W Szewnicy się zakochałem

Patrycja Matera, klasa VI

– opowieść dziadka Edwarda Prusaka

Urodziłem się w 1957 roku w Sitnym. W Szewnicy zamieszkałem z moją żoną, którą tam właśnie poznałem. Bardzo miło wspominałem miejscowość Szewnica, bo tu się zakochałem. Moi rodzice zajmowali się gospodarstwem rolnym. Pomagałem im we wszystkich pracach polnych i domowych. Nie było maszyn ani traktorów, więc praca była bardzo ciężka. Do szkoły poszedłem w 1963 roku. Nie pamiętam dokładnie, ale w klasie było ponad 20 dzieci. Pamiętam jedną nauczycielkę, panią Chuaścińską. Kiedy ktoś coś przeskrobał, np. nie odrobił lekcji, to dostawał drewnianym piórnikiem po rękach klapsy, tzw. „łapy”. Mimo tego nauczyciele byli wtedy bardzo szanowani, a rodzice nie ingerowali w ich pracę. Uznawano, że wina zawsze była po stronie dziecka, a nie nauczyciela.

Najmilej wspominałem czasy młodości, a szczególnie kiedy poznałem swoją żonę. Ślub pamiętam do dziś i jest to jedna z najpiękniejszych chwil w moim życiu.

Cmentarz w pobliskim lesie

Piotr Danielewski, klasa VI

– wywiad z babcią Wiesławą Dzięciot

Urodziłam się w 1952 roku. Pochodzę z miejscowości Piaski. Zamieszkałam w Szewnicy ponieważ stąd miałam łatwiejszy dojazd do pracy, dzięki temu, że we wsi była stacja kolejowa. Bardzo się cieszyłam, że mogłam tu zamieszkać, gdyż miałam własny, większy domek. Mój tata pracował w Warszawie, a mama zajmowała się domem i gospodarstwem.

Młdzież w moim wieku najczęściej grała w piłkę i bawiła się w podchody. Naukę w Szkole rozpoczęłam w 1959 roku. W klasie było 36 osób, a koleżanki pamiętam do dzisiaj. Moje ulubione przedmioty to język polski, historia i wychowane fizyczne.

Co się tyczy historii Szewnicy, to słyszałam od mojej babci i prababci, że w mojej okolicy były kiedyś rodziny żydowskie, a nawet żydowskie karczmy. Do dziś w pobliskim lesie znajduje się cmentarz żydowski.

Piasek na podłozie

Janina Nowak – historia dziadków

Stanisława i Marianny Szyszkowskich

Mój dziadek nazywał się Stanisław Szyszkowski, a babcia Marianna Szyszkowska. Dziadek, kiedy miał 6 lat stracił obydwój rodziców. Zamieszkał u pewnego pana w miejscowości Lipnik i tam w zamian za jedzenie pracował w polu oraz pasł krowy. Kiedy miał 17 lat, przywieźli go do mojej babci w tzw. „swaty”. Zobaczyli się wtedy pierwszy raz. Babcia opowiadała, że dziadek nawet jej się spodobał, ale był bardzo młody – miał tylko 17 lat, a babcia była o dwa lata starsza. Kiedy jednak dziadek stał się pełnoletni po raz kolejny przyjechał do babci i niedługo potem wzięli ślub. Obydwój nie chodzili do szkoły, nie umieli pisać ani czytać. Praca była bardzo ciężka, ponieważ pracowali w gospodarstwie. Zboże kosito się kosami, po kolei u każdego gospodarza.

Babcia z początku miała obawy, że dziadek – wówczas młody chłopak – nie poradzi sobie z ciężką pracą na wsi, ale okazało się, że on umiał wszystko i ciężka praca nie była mu obca.

Dziadkowie mieli pięcioro dzieci i bardzo się kochali. Byli bardzo dobrymi ludźmi dla siebie i dla sąsiadów. Pamiętam, jak babcia opowiadała mi, że kiedy kiszono kapustę, przychodzili sąsiedzi i kroilo się ją najpierw nożami, a potem ubijało nogami. Wieczorami do domu przychodziły kobiety, potem wspólnie robiły na drutach i rozmawiały.

W 1939 roku, kiedy wybuchła wojna, zrobiła się straszna bieda, nie było co jeść. Ludzie czuli się bardzo zagrożeni, żyli w ciągłym strachu. Pewnego razu wieczorem przybiegł do nich pewien Niemiec. Był bardzo przerażony i nie znając języka polskiego zaczął pokazywać i tłumaczyć, że cała wieś musi uciekać, bo jutro Niemcy mają tu wszystkich rozstrzelać. W ten sposób uratował życie mieszkańcom wsi.

W pobliżu dziadków mieszkały też rodziny żydowskie. W czasie wojny za ukrywanie Żydów – nawet dzieci – groziła śmierć. Pamiętam jak dziadek

opowiadał mi, iż przechowywał dwójkę dzieci żydowskich w stodole, niestety został zdradzony przez swojego sąsiada. Udało mu się jednak ocaleć, ponieważ dzieci ukryły się w stodole w sianie i mimo, że niemiecki żołnierz szukał ukrywających się, wkładając widły w siano, wszyscy ocalili.

Dziadek opowiadał mi również, że trzymał w swoim domu broń, i także z tego powodu również został wydany przez sąsiadów. W wyniku donosu Niemcy przyszli do mieszkania dziadków na rewizję, ale dziadek nie przyznał się do niczego, a broń była dobrze ukryta, więc niczego nie znaleźli. W tym czasie w domu był 4 letni wówczas wujek Mietek. Niemiec chciał go przekupić cukierkami, próbował wyciągnąć od niego, gdzie tata trzyma broń. Wujek za każdym razem odpowiadał, że tata nie ma broni. Po jakimś czasie Niemiec pogłaskał wujka po głowie i powiedział: „Zuch chłopak”, zostawiając mu również całą torbę cukierków.

Dzieci moich dziadków chodziły już do szkoły, ale o tamtych czasach opowiadały niewiele. Pamiętam tylko, że w szkole dostawało się za najdrobniejsze przewinienie „tapy” – razy wymierzone drewnianym piórnikiem i z opowieści wiem, że to bardzo bolało. Rodzice zaś w takich wypadkach nigdy nie zrzucali winy na nauczyciela, tylko zawsze karcili dziecko. Zanim we wsi pojawiła się elektryczność, lekcje odrabiano przy lampie naftowej.

Babcia opowiadała mi jeszcze, jak pojawił się pierwszy telewizor we wsi. Wszyscy spotykali się u gospodarza, który go kupił i wspólnie oglądali programy.

Święta w domu mojej babci były ważnym czasem. Rozsypywało się wtedy świeży piasek na podłogę. Kiedy moja mama miała pierwszą komunię świętą cała rodzina pojechała do kościoła furmanką, a po powrocie gości poczęstowano plackiem drożdżowym i kakao – taki był prezent komunijny mojej mamy. Dawniej do kościoła ludzie chodzili boso, obuwie niosąc w ręku. Przed kościołem był stawek, w którym myli nogi i dopiero wówczas zakładali buty, o które dbano tak bardzo dlatego że nikogo nie było stać na kupowanie nowych.

Pomoc w zbieraniu wywiadów i opieka nad uczniami szkoły w Szewnicy: Justyna Powalska i Iwona Sadowska

Z kroniki Szkoły Podstawowej w Szewnicy

(z lat 60. xx wieku)

Informacje zebrane przez Justynę Powalską
oraz Iwonę Sadowską

Wieś

Jak wynika z opowiadań jednego z najstarszych mieszkańców wioski Władysława Jeziorskiego (1913–2002), zanim Szewnica należała do hrabiów Zamoyskich, właścicielem jej był pewien Anglik, który posiadał we wsi skromny dworek. Dworek został kupiony przez trumniarza z Jadowa o nazwisku Biedrzycki. Własnością Zamoyskich stała się Szewnica po III rozbiorze Polski, kiedy carat wysiedlił ich z rodowej twierdzy w Zamościu. Dziszław Zamoyski – wysoki urzędnik w Petersburgu, miał w okolicy 12 folwarków m.in. Łochów i Jadów. W Jadowie miał swą rezydencję i tam siedem lat po jego śmierci została również pochowana jego żona, Maria ze Szwejkowskich (zmarła w Szwajcarii w 1932 r.), a także syn i prawdopodobnie inni członkowie rodziny. Zamieszkiwał hrabia w Łochowie. Z chwilą kiedy wybudowano tor kolejowy dwór przeniesiono na drugą stronę toru, tam gdzie obecnie jest Szewnica – Gorzelnia. Na drugą stronę przeniesiono też czworaki; w Szewnicy zostało jedynie kilka zabudowań chłopskich. Szewnica – Gorzelnia przyjęła swą nazwę od gorzelni, którą Zamoyski zbudował po przenosinach dworu i zabudowań chłopskich.

W okolicy powstało wówczas wiele karczem. Przez długie lata rozwożono w beczułkach dworską gorzałkę i sprzedawano po 3 grosze za kwaterekę. Przy trunku w karczmie odbywały się wszystkie domowe uroczystości: wesela, chrzciny. Bawiono się przy katarynkach gdyż muzyków było niewielu. Karczma była centrum życia towarzyskiego.

Kolej rozbudowała się, a z nią zmieniała się Szewnica. Po wybudowaniu drugiego toru (1905 r.) w Szewnicy zaczęli się osiedlać pracownicy kolejowi i ludzie pracujący w Warszawie. W 1906 roku powstał przystanek kolejowy. Mieszkańcy Szewnicy, nie posiadający dużych gospodarstw, uzupełniali swoje skromne zarobki wynajmując mieszkania warszawskim letnikom, bo powietrze było tu od zawsze bardzo zdrowe. Letnicy przyjeżdżają zresztą do dziś.

Przed wojną stan posiadania mieszkańców Szewnicy zwiększył się, gdyż w wyniku wprowadzonej reformy rolnej w latach 20. (dziedziczką była wtedy Izabella Zamoyska, żona Eryka Kurnatowskiego) otrzymali oni ziemię.

Przed wojną znajdowały się w Szewnicy 3 sklepy spożywcze i jeden masarski. Podczas działań wojennych miejscowość była częściowo zniszczona. W budynku obecnej szkoły prawdopodobnie stacjonował sztab wojska polskiego.

Szkoła

Jeśli już mowa o budynku szkoły, to był on letniskową rezydencją doktora Walenckiego, który – gdy tu nie mieszkał – wynajmował dom różnym ludziom. Dopiero po wojnie wynajęto go na szkołę. Sama szkoła istnieje w Szewnicy od lat 20. XX wieku. Była to czterooddziałowa jednoklasówka z jednym nauczycielem. Na klasę wynajmowano początkowo izbę w domu rodziny Skwarów. Z powodu ciasnoty przeniesiono się z czasem do Jezierskich, gdzie szkoła miała swoją siedzibę przez kilka lat. Obecny budynek wynajęła prawdopodobnie już po wojnie nauczycielka, pani Kunatowicz, z tym, że w jednej sali przez jakiś czas mieściło się również przedszkole. W latach 1952–1954 odnajmowano dodatkowo jedną izbę w domu rodziny Ryszawych, gdyż w 1952 roku szkoła stała się pięciooddziałową z dwoma nauczycielami. Po zlikwidowaniu przedszkola wszystkie klasy znalazły pomieszczenie w tym samym budynku.

W latach 1952–1956 uczyły tu: Krystyna Górecka, późniejsza Jakubiakowska i Maria Pierzchała obecnie Saks. Bezpośrednio po wojnie

wiadomo, że byli tu nauczyciele: Zawisza, który został tu w Szewnicy zabity, p. Kunatowicz, p. Kajzerówna.

W roku 1956 Krystyna Jakubowska opuściła Szewnicę, a kierowniczką szkoły została Władysława Fadewska. W roku 1956 budynek i siedlisko zakupiono na własność szkoły od dr Walenckiego za sumę 93.713,16 zł (przeciętna miesięczna pensja w 1956 r. wynosiła 1118 zł). W budynku dokonano szeregu napraw.

Uporządkowano bibliotekę szkolną. Liczyła ona w chwili objęcia kierownictwa przez Władysławę Fadewską 649 tomów Powstały organizacje młodzieżowe PCK, SKO. Zmniejsza się liczba dzieci, które nie wypełniały obowiązku szkolnego. Wybrany został Komitet Rodzicielski, który przystąpił do współpracy ze szkołą. Do szkoły w Szewnicy uczęszczały także dzieci z okolicznych miejscowości: Olszyn, Wężówki, Wyrobków, Dębego Małego. Dzieci kończące klasę V szły do szkół zbiorczych w Nowinkach lub Urlach.

W roku szkolnym 1959/60 staraniem kierownictwa i przy poparciu Wydziału Oświaty w Wołominie zorganizowano 7 klas, wynajęto dwie dodatkowe izby lekcyjne w domu Marii Król. Do Szewnicy zaczęły również uczęszczać dzieci z wioski Sitne do klas V, VI i VII. Zatrudniono nowych nauczycieli. We wrześniu 1959 do szkoły przybyły Danuta Koźluk i Czesława Rozińska. W 1960 roku na miejsce Danuty Koźluk przyszła Barbara Sobańska. W tym samym roku na szkolnym siedlisku zbudowano murowany budynek gospodarczy...

„Przez 6 dni w tygodniu, przez 7 lat podstawówki, chodziłem na piechotę do szkoły i z powrotem”.

„Tata hodował pszczoły, które strasznie mnie gryzły”.

„Najmilej wspominam język polski, uwielbiałam pisać dyktanda oraz dużo przepisywać”.

„Każda z dziewcząt nosiła granatowe fartuszki z białym kołnierzykiem, a chłopcy w takiej samej kolorystyce marynarki”.

„Skupialiśmy się wtedy pod drzewem i śpiewaliśmy do obrazu Matki Bożej. Potem przez czerwiec i lipiec do Pana Jezusa”.

Zakroczym

„Po rozbiciu wojsk polskich, po okolicy biegało luzem wiele koni, przygarnąłem jednego źrebaka [...]”

„Podczas okupacji szkoła były zamknięta, mieszkali tam wówczas Niemcy”.

„Trzeba było uważać, co się mówi i komu”.

„Po wojnie brakowało ludzi wykształconych, nauczycielami zostawali nawet ci, którzy przed wojną ukończyli siódmą klasę”.

„[...] mieliśmy lampy naftowe, przy których odrabialiśmy lekcje”.

„Nigdy tego nie zapomnę”.

Historia moich dziadków

Joanna Kalinowska, klasa II gimnazjum

– wywiad z dziadkami: Wiesławem i Janiną Kalinowskimi

W którym roku się urodziście?

Dziadek: Urodziłem się w 1930 roku w Henrysinie (5 km od Zakroczymia). Mama urodziła mnie w domu.

Babcia: Ja urodziłam się w 1937 roku w Kucharkach k. Czerwińska, ale większą część dzieciństwa spędziłam w Kroczewie.

Czym zajmowali się Wasi rodzice?

Dziadek: Moi rodzice byli rolnikami.

Babcia: Pamiętam, że mój tata pracował na niemieckim lotnisku w Kroczewie, a mama zajmowała się domem.

Co robiła wówczas młodzież w naszym wieku w czasie wolnym?

Dziadek: Szkoły były zamknięte, a ponieważ mój tata poszedł na wojnę, to ja zająłem się domem i gospodarstwem. Wieczorami opowiadaliśmy sobie różne historie, graliśmy w karty.

Babcia: Pomagaliśmy naszym rodzicom w domu.

Czym zajmowaliście się w dorosłym życiu?

Dziadek: Przez pewien czas zasiadałem w ławie przysięgłych, ale oboje zajmowaliśmy się rolnictwem i z tego żyliśmy. Po wojnie dostaliśmy ziemię z reformy rolnej¹.

W którym roku poszliście do szkoły?

Dziadek: Przed okupacją skończyłem trzy klasy. Do szkoły poszedłem w 1936 roku. Podczas okupacji szkoła była zamknięta, mieszkali tam wówczas Niemcy. Nie chodziłem wtedy do szkoły. Wieczorami przychodziła znajoma naszych rodziców i uczyła nas wszystkiego.

¹ Reforma rolna z 6 września 1944 – reforma przeprowadzona na mocy dekretu Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego. Dotyczyła ona wyłączenia i parcelacji majątków ziemskich o obszarze ponad 50 ha, a na niektórych terenach powyżej 100 ha.

Siódmą klasę ukończyłem w przyśpieszeniu, ale było to dopiero po wyzwoleniu .

Babcia: Do szkoły poszłam po okupacji, gdy miałam 7 lat. Chodziłam wtedy do pierwszej klasy, a mój o cztery lata starszy brat poszedł do klasy drugiej.

Ile dzieci było w klasie, czy pamiętacie swoich kolegów i koleżanki?

Dziadek: Tak – pamiętam, moja najlepsza koleżanka mieszka niedaleko. Klasy były nieduże. Chodziłem do szkół w trzech różnych miejscowościach (Trębki Nowe, Kroczewo, Warszawa)

Babcia: W mojej szkole klasy były średniej wielkości. Chodziłam do szkoły w Kroczewie.

Jakie przedmioty były wówczas nauczane w szkole? Które najbardziej lubiliście?

Dziadek: Zaraz po okupacji, gdy wróciłem do szkoły, jeden nauczyciel miał swoją klasę, którą uczył wszystkiego. Po wojnie brakowało ludzi wykształconych, nauczycielami zostawali nawet ci, którzy przed wojną ukończyli siódmą klasę. W mojej szkole uczył właśnie taki nauczyciel.

Babcia: Na początku, gdy ja chodziłam do szkoły, również tak było. Dopiero po czasie wszystko się unormowało.

Czy pamiętacie nauczycieli? Którzy z nich najbardziej utkwili Wam w pamięci i dlaczego?

Dziadek: Lubiałem wszystkich nauczycieli, którzy mnie uczyli. Najlepiej pamiętam Panią Kuleszową, była dyrektorką w jednej z moich szkół. Tuż po wojnie nasi nauczyciele nie dostawali pensji. Pomagaliśmy im, dając im różne warzywa, masło, mleko, które sami wyprodukowaliśmy.

Babcia: Miałam dobry kontakt z nauczycielami, nie mogę powiedzieć nic złego o żadnym z nich. Najbardziej w pamięci zapadła mi pani Ania od polskiego oraz pan od muzyki. Kiedy zaczynał grać na skrzypcach, śpiewaliśmy piosenkę „Zielony mosteczek ugina się..”

Czy w miejscowości albo okolicy mieszkali ludzie innej narodowości albo innego wyznania?

Dziadek: W czasie wojny w naszej miejscowości mieszkało kilka rodzin żydowskich. Nasi sąsiedzi (byli bardzo liczną rodziną) mieszkali w dwupokojowym domu z żydowską rodziną Majorek. Niedaleko mieszkał również Żyd, który był fryzjerem i nazywał się Szlamek Wasunga, czasami korzystałem z jego usług. Wszyscy Żydzi musieli nosić na ramieniu Gwiazdę Dawida. Na wsi był jeden mężczyzna, który ich nadzorował, był Polakiem. Musiał on wykonywać rozkazy Niemców dotyczące Żydów. Robił to, bo bał się o swoje życie. Po pewnym czasie Żydzi byli grupowani i przenoszeni do Zakroczymia (gdzie mieszkali po kilka rodzin w jednym pomieszczeniu), a potem do getta w Nowym Dworze Mazowieckim. Przed wojną w Zakroczymiu było dużo sklepów, których właścicielami byli Żydzi.

W naszym domu po wysiedleniu Żydów mieszkało troje Niemców, dwóch dowódców jednostki remontowej oraz Niemiec, który szył plandeki na samochody. W jednej izbie mieszkali oficerowie, a w drugiej ja z moimi braćmi, siostrą, mamą, babcią, dziadkiem i tym Niemcem, który był krawcem. Wspominam go dobrze, bo nigdy na nas nie krzyczał, był miły, pomagał nam i mieszkańcom naszej wsi np. naprawiał nasze buty. Za każdym razem, kiedy naprawiał buty naszemu stryjecznemu bratu znikaty mu nożyczki. Zabawne było jego powiedzenie po wizycie mojego brata: „Burzycki capca rap nożyczki”. Nigdy nie gniewał się na niego za zaginione nożyczki. W naszym sadzie (obok naszego domu) ustawione były namioty, w których mieszkali Niemcy i Ukraińcy. Stacjonowała tam jednostka remontowa.

Zastanawiasz się pewnie, jak znaleźli się tam Ukraińcy. Otóż Niemcy, aby zwiększyć liczebność wojska, wcielali do swojej armii inne narodowości. Ukraińcy chodzili w niemieckich mundurach. Byli delegowani do najgorszych zadań, m.in. mordowania ludności cywilnej.

Babcia: W mojej miejscowości w Kroczewie, razem z mamą i moimi siostrami mieszkaliśmy w jednym domu z żołnierzem niemieckim. Dostawał on deputaty suchego prowiantu, ale dzielił się nim

z moją mamusią, aby mogła przyrządzić jedzenie i podzielić je pomiędzy wszystkich. Kiedy Niemcy mieli wracać na front, przybiegł do mojej mamy i powiedział jej na pożegnanie, że było mu tu tak dobrze, jakby był u swojej mamy. Później zamieszkał z nami kolejny Niemiec, ale był już zupełnie inny... jeśli coś nakazał, to musiało to być zrobione. Nic go nie obchodziło.

Czy mieliście kolegów i koleżanki innych narodowości?

Dziadek: Nie miałem z nimi większej styczności. Ale znałem ich i czasami się spotykaliśmy.

Babcia: Ja niestety nie.

Czy była w naszej okolicy świątynia innego wyznania, kaplica albo cmentarz?

Babcia: W Zakroczymiu znajdował się kirkut czyli cmentarz żydowski. Został on doszczętnie zniszczony.

Jakie czasy wspominacie najlepiej, a jakie najgorzej?

Babcia: Najlepiej wspominam czasy, w których chodziłam do szkoły.

Jakie wydarzenie z dzieciństwa utkwiło Wam najbardziej w pamięci?

Babcia: Pamiętam jedno straszne wydarzenie. Niemcy przejechali dwójkę dziesięcioletnich chłopców. Te dzieci uciekały, chowały się za drzewami, ale jak jakiś Niemiec był zawzięty to zrobił, co chciał. Kiedy matka jednego z chłopców zobaczyła swoje dziecko pod kołami samochodu wpadła w histerię. Wtedy podszedł do niej jeden z Niemców i zaczął ją bić po twarzy. Nigdy tego nie zapomnę.

Pamiętam też, jak raz mamusia poszła z nami do studni po wodę (nie miała nas z kim zostawić). Chodziły wtedy plotki, że Niemcy dają zatrute jedzenie i takie tam. Było ich dwóch – częstowali nas czekoladą. My, jak to dzieci, braliśmy, bo przecież czekolady nie było, a mamusia bała się przy tych Niemcach powiedzieć cokolwiek. Jeden z nich zrozumiał, o co jej chodzi – otworzył czekoladę, wziął kawałeczek, dał drugiemu, zjedli po kawałku, a resztę oddali nam.

Pewnego razu trójka pijanych Niemców przyszła do mojej mamy i jej koleżanki. Bardzo źle się zachowywali i rozrabiali, więc mamusia poszła na skargę i już do końca nie widziała tamtych Niemców

w pobliżu. Dostali reprimendę i powiedziano im, że jak jest im tu źle, to pójdą na front. Wojsko niemieckie było postutzne, panował tam porządek.

Pamięta też Niemca, który rozwoził wodę. Wołaliśmy na niego Wasel, zawsze miał ze sobą cukierki dla dzieci. Mało się nie pozabijaliśmy, gdy wiedzieliśmy, że jedzie.

Jak od czasu Waszego dzieciństwa zmieniła się nasza miejscowość?

Dziadek: Wydaje mi się, że na naszej wsi nie ma już żadnego domu, który by przetrwał wojnę. Wszystko się zmieniło.

Pamiętacie coś z czasów wojny?

Dziadek: Kiedy zaczęła się wojna miałem 9 lat. Mój tata został powołany do wojska, stacjonował w Rembertowie pod Warszawą. Mając 9 lat zająłem się gospodarstwem, czasami pomagał mi brat taty. W czasie okupacji Polacy przemycali żywność do Warszawy, aby ją sprzedać, bo w stolicy jej brakowało. Za przemyt groziła kara śmierci. Nasz sąsiad z tego powodu trafił do obozu i już z niego nie wrócił.

Za czasów niemieckich nie można było mieć roweru, wszystkie były zabierane, ale mój ojciec wyjątkowo mógł mieć rower, bo był sołtysem. Na nowym rowerze wrócił z wojny, rower ten nazywał się „balonówka” i służył nam jeszcze długo. Tata wrócił do domu dwa tygodnie po zakończeniu wojny w 1939 r. Po rozbiciu wojsk polskich, po okolicy biegano luzem wiele koni, przygarnąłem jednego źrebaka, był to mój pierwszy koń, moja pierwsza wychowanka, bardzo ją kochałem. Gdy podrosła bardzo pomagała mi w gospodarstwie. Kiedy przyszli Sowieci, to zabierali wszystko, co było im potrzebne m.in. konie, dlatego postanowiłem ochronić moją kobyłkę i ukryłem się z nią w bunkrze. Siedziałem tam dwa tygodnie, rodzina przynosiła mi jedzenie.

Gdy Rosjanie przechodzili przez Henrysin pytali się tylko: *Daleko do Berlina!?* Pamiętam jak w rowach i na polach leżały ciała Niemców.

Długa droga do szkoły

Jakub Lewandowski, klasa II gimnazjum

– wspomnienia dziadka Piotra Stępnika

Urodziłem się w 1950 roku w Nowym Dworze Mazowieckim. Pochodzę z Zakroczymia, mojego rodzinnego miasta, w którym się wychowałem. Z dzieciństwa najbardziej zapadła mi w pamięć moja piesza wędrówka do szkoły. Przez 6 dni w tygodniu, przez 7 lat podstawówki, chodziłem na piechotę do szkoły i z powrotem. Z lat szkolnych zapamiętałem mojego nauczyciela od matematyki. Zawsze, gdy uczeń nie miał pracy domowej, bo skończył mu się zeszyt, mówił: – „Trzeba było napisać na torebce od cukru albo na marginesie w gazecie”. Nie uwzględniał braku pracy domowej. W szkole podstawowej w naszej klasie było nas trzydzieścioro. W piątej klasie został wprowadzony język rosyjski, którego chętnie się uczyłem. Ze wszystkich książek w szkole najbardziej lubiłem „elementarz”¹. Jako młody chłopak w czasie letnim pomagałem rodzicom w prowadzeniu małego gospodarstwa rolnego, z którego się utrzymywaliśmy. W wolnym czasie, poza lekcjami, grałem z kolegami w piłkę nożną, bawiliśmy się też w „berka”, w tzw. „klipę”² oraz „dychę”³.

Po zakończeniu podstawówki rozpocząłem naukę w zasadniczej szkole zawodowej w Warszawie i skończyłem ją otrzymując uprawnienia do wykonywania zawodu monter instalacji sanitarnej, którego potocznie nazywa się hydraulikiem. Kiedy miałem 16 lat, podczas pobytu w internacie, przeżyłem wstrząsające wydarzenie, a mianowicie pożar, podczas którego cały internat doszczętnie spłonął, ale ja wyszedłem z tego cało. Żyję już ponad 67 lat i nadal najlepiej wspominam lata młodości i beztroski, a najgorzej czasy współczesne, czyli starość.

1 „Elementarz” – przez wiele lat najpopularniejszy w Polsce podręcznik do nauki czytania i pisania autorstwa Mariana Falskiego (1881–1974).

2 Klipa – gra podwórkowa, w której uczestnicy za pomocą kija próbują odrzucić mniejszy kij z narysowanego na ziemi kręgu.

3 Dycha – gra, w której gracz rzuca do celu otwiany krążek.

Warkocze w „koński ogon”

Sandra Lesiak, klasa III gimnazjum

– wywiad z babcią Gabrielą Drzazgowską

Babciu, chciałabym wysłuchać twoich wspomnień. Zadam Ci kilka pytań, które przybliżą mi twój świat czasów dzieciństwa i młodości.

Gdzie chodziła babcia do szkoły podstawowej?

Tak jak ty chodziłam do szkoły w Zakrocymiu. To była jedyna szkoła w okolicy, do której uczęszczały dzieci nie tylko z Zakrocymia, ale też z pobliskich wiosek. Do szkoły chodziliśmy pieszo. Nie było – tak jak jest teraz, dowozu szkolnymi autokarami. Dzieci do szkoły dochodziły nawet kilka kilometrów. Możesz sobie tylko wyobrazić, jak było zimą i wczesną wiosną.

Czy pamiętasz, jak wyglądała szkoła tamtych czasów?

Klasy były liczne – powyżej 30 uczniów. W mojej klasie również było ich około trzydziestu. Każda z dziewcząt nosiła granatowe fartuszki z białym kołnierzykiem, a chłopcy w takiej samej kolorystyce marynarki. Dziewczynki włosy miały splecione w warkocze i „koński ogon”.

Jak wspomina babcia tamte czasy?

Co prawda minęło sporo czasu, odkąd chodziłam do szkoły, ale wspominam ten czas bardzo dobrze: miałam dużo przyjaciół, uwielbiałam się uczyć. Dzieci były życzliwe w stosunku do siebie i nauczycieli. Ci ostatni zaś byli wzorem do naśladowania.

Czy pamiętasz nauczycieli?

Tak, pamiętam. Dyrekcją było małżeństwo – państwo Klarżuków – Stanisław i Krystyna. Najstarszymi nauczycielami była pani Gasińska i Kosecka. Najbardziej lubianymi nauczycielami byli zaś państwo Jadwiga i Henryk Brodniccy, państwo Glabiszowie, pani Anna Stępińska oraz pani Barbara Baur. Pani Stępińska uczyła nas języka

polskiego, a pani Baur matematyki. Wszystkich uczniów wspierali z całego serca. Moją wychowawczynią była pani Anna Baranowska.

Gdzie postanowiła babcia pójść do szkoły po skończeniu podstawówki ?

Byłam typem domatora – tęskniłabym za rodziną, gdybym wybrała szkołę daleko od domu. Wybrałam więc szkołę jak najbliżej mogłam. Chodziłam do Liceum Ogólnokształcącego w Modlinie. Do tej szkoły chodzili uczniowie z pobliskich miejscowości. Poznałam tam wiele nowych osób.

A jak wyglądała miejscowość, w której mieszkałaś?

Środowisko, otoczenia nie wyglądało, tak jak teraz. Nie było prądu, mieliśmy lampy naftowe, przy których odrabialiśmy lekcje. Nie było szosy, lecz polna droga. Do szkoły musieliśmy chodzić pieszo około 3 km codziennie okrągłym rokiem, ponieważ nie było autobusów. Pamiętam jednak, że wszyscy z uśmiechem na twarzy chodzili do szkoły.

Jak ułożyło się dalsze życie babci?

Gdy skończyłam szkołę pracowałam na gospodarstwie, pomagałam rodzicom, potem wyszłam za mąż, założyłam rodzinę. Życie minęło mi w oka mgnieniu.

Czy chciałaby babcia przeżyć drugi raz życie?

Z całą pewnością tak. Jak wiadomo życie to nie bajka, ale gdybym miała taką szansę, to na pewno chciałabym cofnąć czas.

Wspomnienia

Andżelika Apel, klasa III gimnazjum – wspomnienia taty Zbigniewa Apela

Urodziłem się w 1961 roku i pochodzę z Zakroczymia. Z zawodu jestem spawaczo-ślusarzem, a obecnie wykonuję prace remontowo-budowlane.

Z dzieciństwa najbardziej pamiętam zabawy z bratem i rodzicami oraz wychodzenie z przyjaciółmi i znajomymi na dwór oraz zabawy na podwórku. Były to czasy „komuny” – jak potocznie określa się czasy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej¹. Trzeba było uważać, co się mówi i komu. Moja mama zajmowała się pracą chatupniczą, a tata był rybakiem. Młodość w dawniejszych czasach w wolnym czasie spędzała czas ze znajomymi grając np. w podchody lub inne gry podwórkowe.

Do szkoły zaczęłam uczęszczać w roku 1968. Do mojej klasy przez kilka lat chodziło 36 osób, po czym po kilku latach klasę rozdzielono.

Pamiętam wszystkie koleżanki i kolegów ze szkoły. Wspomnienia ze szkoły i z czasów dzieciństwa są zawsze miłe. W poprzednich latach przedmioty szkolne nie różniły się praktycznie niczym od teraźniejszych oprócz tego, że nie było kiedyś lekcji typu: edukacja dla bezpieczeństwa, wiedzy o społeczeństwie, języka angielskiego. Była też inna skala ocen – najgorsza była wtedy dwójka. Moim ulubionym przedmiotem było wychowanie fizyczne. Pamiętam praktycznie wszystkich swoich nauczycieli.

Ani w Zakroczymiu, ani w okolicy nie spotkałem człowieka innej narodowości czy wyznania. Nie miałem kolegów innej narodowości. Pamiętam, że w Zakroczymiu był cmentarz żydowski, ale za moich czasów już nie było tam żadnych pochówków.

Najbardziej pamiętam ukończenie szkoły podstawowej. Od czasu mojego dzieciństwa do teraz Zakroczym bardzo się zmienił, miasto się rozbudowało. Jest więcej sklepów i prywatnych domów.

¹ Polska w okresie dyktatury komunistycznej (1944–1989) – niesuwerenne państwo zależne od Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich. Oficjalna nazwa w latach 1952–1989: Polska Rzeczpospolita Ludowa (w skrócie: PRL).

Początki nauczania

Kuba Szatkiewicz, klasa III gimnazjum – historia babci Krystyny Szatkiewicz

To opowieść o mojej babci. O tym, jak zaczęła swoją pracę, gdzie chodziła do szkoły i dlaczego interesował ją zawód, który wybrała.

Czy pamiętasz, gdzie chodziłaś do szkoły?

Chodziłam do Szkoły Podstawowej im. Bojowników o Wolność i Demokrację¹ w Zakroczymiu. Naukę rozpoczęłam w roku 1960.

Ile dzieci było w klasie?

Nie pamiętam dokładnie, ile osób liczyła klasa, ale z niektórymi kolegami utrzymuję kontakt do dnia dzisiejszego.

Jakie przedmioty były wtedy nauczane w szkole?

Były to takie same przedmioty jak obecnie – nie było tylko informatyki, języka angielskiego i edukacji dla bezpieczeństwa.

Czy pamiętasz nauczycieli? Którzy z nich najbardziej zapamiętałaś i dlaczego?

Wychowawcą od 2 klasy był starszy pan, który wyglądał bardzo poważnie. Większość z nas bała się go, ale jak się później okazało był bardzo sympatyczny i miły. Uczył także matematyki i to on zaszczerpił we mnie miłość do tego przedmiotu.

Co robiła wówczas młodzież w naszym wieku w czasie wolnym?

W miejscowości, w której się urodziłam nie było rozrywek nie było kawiarni, klubów musieliśmy sami sobie organizować zajęcia. Jedyłą rozrywką było kino. Byłam tam częstym klientem. Nie nudziliśmy się organizowaliśmy spotkania i zabawy.

Czy w miejscowości albo okolicy mieszkali ludzie innej narodowości

¹ Szkoła została odbudowana w roku 1950 staraniem byłych więźniów Fortu I Twierdzy Modlin, znajdującego się w Zakroczymiu. Imię szkole nadano w roku 1952.

albo innego wyznania?

Obok nas mieszkał Żyd. Rodzice oraz sąsiedzi utrzymywali z nim poprawny kontakt.

Czy w naszej okolicy była świątynia innego wyznania, kaplica albo cmentarz?

W naszej okolicy jedynie znajdował się cmentarz żydowski.

Jaka była twoja pierwsza praca?

Ukończyłam Wyższą Szkołę Pedagogiczną, a potem byłam nauczycielką matematyki w wiejskiej szkole w Emolinku. Ponieważ była to mała szkoła oprócz matematyki uczyłam także fizyki, geografii i wychowania fizycznego. Obecnie jestem na emeryturze, ale przez 40 lat uczyłam matematyki, najpierw w szkole podstawowej, a potem w gimnazjum w Zakroczymiu.

Czy lubiłaś tam pracować?

Lubiłam uczyć. Uważam, że byłam nauczycielem z powołania. Nauczanie sprawiało mi wielką radość.

Dlaczego interesował cię ten zawód?

Lubiłam się uczyć matematyki, był to mój ulubiony przedmiot i dlatego podjęłam decyzję o pracy w szkole i nauczaniu tego przedmiotu.

Czym zajmowali się babci rodzice?

Mama zajmowała się wychowywaniem dzieci, dopiero później zaczęła pracować jako kucharka w kasynie wojskowym. Tata był murarzem.

Jakie czasy wspominasz najlepiej, a jakie najgorzej?

Najmilszy okres to czasy studiów. Najgorszy to czas kiedy miałam już rodzinę, a w sklepach nie było można nic kupić, a na półkach stał tylko ocet.

Dzięki mojej babci też lubię się uczyć matematyki, bo jeśli czegoś nie rozumiem, to babcia wszystko mi wytłumaczy w najprostszy sposób.

Czasy radości

Kamil Filipiak, klasa III gimnazjum

– opowieść babci Elżbiety Filipiak

*Urodziłam się w 1956 roku, pochodzę z Długopola. Moi rodzice utrzymywali się z rolnictwa. To, że znalazłam się w Emolinku pod Zakroczy-
miem zawdzięczam wyjściu za mąż. Jesteśmy małżeństwem już 42 lata.*

Moim pierwszym wspomnieniem z dzieciństwa jest zmiana szkoły. Musiałam przyzwycząć się do nowego otoczenia, co nastąpiło dość szybko. W tamtych czasach młodzież spotykała się na boisku szkolnym. Wymyślaliśmy sobie wówczas różne zabawy. Nie było komputerów ani telefonów, a mimo to było o wiele lepiej.

Do szkoły podstawowej poszłam w roku 1963, kiedy miałam 7 lat. Klasa nie była liczna – było nas 15 osób. Najbardziej zapamiętałam moje koleżanki z Wygody i z Emolinka. Najmilej wspominam język polski, uwielbiałam pisać dyktanda oraz dużo przepisywać. Pamiętam wszystkich nauczycieli, jednak najbardziej w pamięci utkwiła mi Danuta Małkiewicz. Była moją wychowawczynią i bardzo dobrą nauczycielką, która zawsze pomagała każdemu, kto miał problem. W naszym otoczeniu nikt nie mieszkał i nie było osób innej narodowości, ani też obiektów kultu religijnego innych niż nasz kościół. Najbliższe takie obiekty znajdowały się przed wojną w Zakroczymiu.

Najlepiej wspominam czasy uczęszczania do szkoły, bo bardzo lubiłam szkołę. Najgorzej natomiast wspominam pracę, jaka mnie czekała po lekcjach: ciężką pracę na roli. W młodości pomagałam na gospodarce moim rodzicom, a potem pracowałam u rodziny męża.

Pamiętam swoją pierwszą miłość, miałam wtedy 18 lat.

Czas leci i wszystko zmieniło się o 180 stopni w ciągu tych lat. Teraz każdy ma samochód, duży murowany dom... Kiedyś tak nie było. Mimo tego, że każdy był biedny, ludzie szanowali siebie oraz mieli ze sobą dobre kontakty. Miło wspominam dawne czasy, pełne radości.

Pan Krzysztof

Aleksandra Mąka, klasa III gimnazjum

– wywiad z panem Krzysztofem Skibińskim z Zakroczymia

W którym roku się pan urodził, skąd pan pochodzi?

Urodziłem się w 1964 roku i pochodzę z Zakroczymia.

Co najbardziej zapamiętał pan z dzieciństwa i jak wspomina pan dawne czasy?

Pamiętam zwłaszcza swoją pierwszą komunię świętą, bo dostałem wtedy rower i zegarek w prezencie.

Czym zajmowali się Pana rodzice?

Mama była woźną w szkole podstawowej, a tata pracował w jednostce wojskowej.

Co robiła wówczas młodzież w naszym wieku w czasie wolnym?

Dziewczęta, pamiętam, grały w tak zwane „klasy”¹, a chłopcy w piłkę nożną. Chodziliśmy też nad Wisłę i do lasu. Bawiliśmy się również na podwórkach.

Jaki był pana zawód, czym się pan zajmował?

Byłem monterem urządzeń sanitarnych.

W którym roku poszedł pan do szkoły?

Do szkoły uczęszczałem w 1973 roku. Niestety nie pamiętam już swoich znajomych z tamtych czasów, ale zostało mi w pamięci, że w szkole było bardzo dużo dzieci od klasy I do VII. Klasy liczyły powyżej 30 uczniów.

Jakie przedmioty były nauczane wtedy w szkole?

Przedmioty były te same, co i teraz, lecz inaczej uczyli nas nauczyciele. Najbardziej uwielbiałem śpiew.

Czy pamięta pan swoich nauczycieli?

¹ Klasy – popularna gra podwórkowa, w trakcie której uczestnicy muszą przeskoczyć przez osiem narysowanych na podłożu pól, tzw. klas.

Niestety w pamięci utkwił mi tylko jeden nauczyciel, ponieważ bił uczniów i był bardzo niedobry. Teraz byłoby nie do pomyślenia stosować takie kary.

Czy w miejscowości albo w okolicy mieszkali ludzie innej narodowości albo innego wyznania?

W okolicy Zakroczymia mieszkali osoby wyznania prawosławnego, ale nie uczęszczały do naszej szkoły.

Czy była w naszej okolicy świątynia innego wyznania, kaplica albo cmentarz?

Tak, był u nas cmentarz żydowski, a do tej pory istnieje grób Romów rozstrzelanych przez Niemców w czasie II wojny światowej.

Jakie czasy wspomina pan najlepiej?

Najmilej wspominam czasy swojego dzieciństwa, kiedy wyjeżdżaliśmy na różne wycieczki i kolonie, a najgorszy okres dla mnie to czasy współczesne.

Jakie wydarzenie z dzieciństwa panu w pamięci?

Dla mnie najlepszym wydarzeniem w moim życiu było to, gdy zostałem aktorem – w Zakroczymiu był wtedy kręcony film pod tytułem „Dziewczyna i Chłopak”¹.

Jak od czasu Pana dzieciństwa zmieniła się nasza miejscowość?

Kiedyś były u nas dwie piekarnie, więc chleb pieczony był na miejscu. Chodziło się nad Wisłę na plażę, organizowane były np. wianki. W Zakroczymiu działało też wówczas kino.

Dziękuję bardzo za wywiad.

Ja też bardzo dziękuję, gdyż był to dla mnie czas, w którym mogłem wrócić wspomnieniami do lat, kiedy byłem młody.

¹ „Dziewczyna i chłopak” – film fabularny w reżyserii Stanisława Lotha z roku 1980.

Wspomnienia mojej babci

Jakub Waśniewski, klasa III gimnazjum

– wspomnienia babci Stanisławy Waśniewskiej

Urodziłam się w 1939 r. Pochodzę z Załusk, a do miejscowości, w której obecnie mieszkam przeprowadziłam się po zawarciu związku małżeńskiego ze Stanisławem Waśniewskim, który mieszkał na Wilamach. Pierwsze wspomnienie z mojej miejscowości to błotnista, wiejska droga. Z dzieciństwa najbardziej utkwiło mi w pamięci chodzenie 5 km do szkoły.

Moi rodzice zajmowali się rolnictwem. Często pomagaliśmy rodzicom w różnego rodzaju pracach polowych. Młodość spędzała wtedy aktywny czas na świeżym powietrzu, nie było telewizorów i komputerów.

Do szkoły poszłam w 1946 r. klasy były łączone. W mojej klasie była trzynastka dzieci, ale rówieśników nie pamiętam. Uczono wtedy tych samych przedmiotów, co obecnie, ale bez języków obcych i informatyki.

Najbardziej ze szkoły zapamiętałam dyrektora, gdyż był on dobrym człowiekiem i nauczycielem, uczył matematyki.

W okolicy nie mieszkali ludzie innej narodowości i wyznania, nie miałam koleżanek innej narodowości. Nie było też świątyń innych religii.

Najlepiej wspominam dzieciństwo, a najgorzej lata młodości, gdyż były to biedne i ciężkie czasy powojenne, po których nastał u nas komunizm. Niestety żadne wydarzenia nie zostały przeze mnie zapamiętane – każdy dzień wydawał mi się taki sam.

W mojej miejscowości przez lata powstało wiele nowych domostw i asfaltowa droga, ale kiedyś obejścia wokół domostw były bardziej zadbane.

Pamiętam jedno wydarzenie z okresu wojny, które utkwiło mi w pamięci, kiedy oglądaliśmy z innymi dziećmi wewnątrz radzieckiego czołgu. Byłam wtedy jeszcze dzieckiem, ale to wydarzenie zapamiętałam.

Modlitwy pod drzewem

Weronika Budnicka, klasa II gimnazjum

– wspomnienia babci Wandy

Reportaż postanowiłam poprowadzić z moją 80-letnią babcią, która bardzo dużo w życiu przeszła, m.in. czas okupacji.

W którym roku się urodziłaś? Skąd pochodzisz?

Urodziłam się roku 1937, w Zakroczymiu, przy ulicy Gałachy. Mieszkaliśmy nad pięknym, górzystym terenem. Blisko płynęła woda... Cisza i spokój... Rosło tam dużo drzew i porastało sporo zieleni. W parowie mieliśmy różne ścieżki, nazywając je każde z osobna. Np. Dróżka Stokrotka miała taką nazwę od rosnących tam stokrotek. Razem z rodzeństwem lubiłam chodzić na te nasze góry oraz parowy i spędzać tam czas.

Miałaś rodzeństwo? Jak się z nimi dogadywałaś?

Miałam dwie siostry i dwóch braci, z czego żyje jeden – Stefan. Dużo czasu razem z ojcem spędzaliśmy nad Wisłą. Bardzo często bawiliśmy się w parowach, gdzie z siostrą z patyczków robiłyśmy różne zabawki, lepiliśmy babki. Latem chodziliśmy na bosy po podwórku. Dawne buty, drewniaki, były bardzo niewygodne, a obuwanie było tylko na zamówienie i drogie.

Co wówczas robiła młodość w naszym wieku?

Przychodziły dzieci z sąsiednich domów i razem spędzaliśmy czas. Spotykaliśmy się pod naszymi bramami i zaczynaliśmy się bawić. Przyjaźniłam się wtedy po sąsiedzku z Danusią. Graliśmy w piłkę, odbijając ją o ścianę, w chowanego, klasy, często też w wilka i gąski. Najwięcej czasu spędzaliśmy w Sławinku. Taka aleja była wysadzona kasztanami, ogromnymi, które pewnie przetrwały do dziś. Rosty tam jeszcze poziomki, które nawlekaliśmy na trawę jak koraliki. Przez cały maj odprawiane były msze polne. Skupialiśmy się wtedy pod drzewem i śpiewaliśmy do obrazu Matki Bożej. Potem przez

czerwiec i lipiec do Pana Jezusa. W zimę ze szkoły wracaliśmy przez parowy. Nie mogło obejść się jednak bez zabawy. Wtedy siadaliśmy na teczkach i zjeżdżaliśmy z górki. Zdarzało się, że zjeżdżaliśmy na znalezionych rzeczach, np. na starym garnku bez dna.

Czym zajmowali się twoi rodzice?

Prowadzili gospodarstwo. Tata hodował pszczoły, które strasznie mnie gryzły. Mama zajmowała się domem i właśnie gospodarstwem. Nigdy nie miała czasu wyjść nad Wisłę, dlatego chodziliśmy tam z tatą.

Jakie wydarzenie utkwіło ci w pamięci?

Kiedy Niemcy zabrali mojego tatę. Miałam sześć lat, kiedy zabrali go do obozu w Sztutowie. Tata bardzo angażował się w sprawy polityczne. Wysyłał paczki żywnościowe dla więzionych Żydów. Nawet są na to dowody; ci ludzie przysyłali listy z podziękowaniami dla tatusia. Rok 1944 dla nas był najsmutniejszym okresem. Nawet ss-mani, którzy zajęli nam salon, nie mogli nic zrobić w sprawie taty.

Jak babcia pamięta okres okupacji?

Było strasznie. Pamiętam jak ss-mani do nas wtargnęli i zajęli duży pokój. U sąsiada zrobili sobie kino. Ulica Koźmińskiego była spustoszona. Na miejsce starych domów postawili takie drewniane budki, które miały służyć ludziom za mieszkania. Nie było już tych kolorów życia, co kiedyś.

Czy byli w Zakroczymiu ludzie innych narodowości?

Tego nie wiem. Podobno tak. Najwięcej miało być Żydów, ale to było przed wojną.

Co było po wojnie?

Potem zaczęłam się uczyć. Naukę rozpoczęłam w sali przyklasztornej. Później stworzono cztery sale, w budynku gdzie teraz mieści się urząd.

Co potem robiłaś? Jaki zawód wykonywałaś?

Ukończyłam małą maturę w Człuchowie, a następnie poszłam do szkoły felczerskiej w Szczecinie. Z powodu nakazu pracy, zostałam tam i pracowałam jako felczer. Po dwóch latach wróciłam do Zakroczymia i pracowałam tam w pogotowiu ratunkowym.

O Akademii Młodego Obywatela Jana Karaskiego

Adrian Ślubowski, klasa III gimnazjum

Z projektu Akademia Młodego Obywatela, zorganizowanego dzięki Fundacji Jana Karaskiego, wyniosłem wiele nowych doświadczeń. Dowiedziałem się ciekawych informacji dotyczących Jana Karaskiego, którego postać do tej pory nie była mi znana. Wiem, że był emisariuszem i wielkim bohaterem wojennym. To dzięki jego działaniom świat mógł dowiedzieć się o strasnej sytuacji Żydów podczas II wojny światowej – o Holokauście. Jan Karaski dwukrotnie wprowadzony był do warszawskiego getta, gdzie na własne oczy widział nieludzkie traktowanie Żydów. Informacje o tym przekazał zachodnim sojusznikom.

O swoich przeżyciach napisał książkę pt. „Tajne państwo”. To dzięki udziałowi w projekcie, prelekcjach i filmie uzyskałem wiele ciekawych informacji o Janie Karaskim, który jest dla mnie bohaterem.

Na pamiątkę mam zrobione zdjęcie przy pomniku – ławeczce Jana Karaskiego, przy którym – naciskając przycisk znajdujący się na pomniku – można wysłuchać wspomnień emisariusza.

Duże wrażenie zrobiło na mnie muzeum Polin, o którym też nie wiedziałem.

Brałem udział w warsztatach o wolontariacie i reportażu historycznym. Dowiedziałem się wielu ciekawych rzeczy na temat wielokulturowej tradycji Rzeczypospolitej poprzez spotkania w świątyniach z duchownymi różnych wyznań. Mieliśmy spotkanie z dyplomatą, który opowiadał nam interesujące rzeczy. Byliśmy w Sejmie. Bardzo podobało mi się w fundacji (Fundacji Edukacyjnej Jana Karaskiego – red.), a najbardziej jego pracownicy, którzy byli dla nas bardzo mili. Dzięki projektowi mogłem przeżyć niezapomniane chwile, wzbogacić wiedzę, zwiedzić Warszawę i być przez kilka dni razem ze swoimi kolegami,

ponieważ mieszkamy w różnych miejscowościach i możemy spotykać się tylko w szkole. Moim zdaniem powinno się organizować tego typu projekty dla dzieci, które pochodzą z małych miejscowości i wiosek. Bardzo dziękuję, że mogłem uczestniczyć w tym projekcie.

CZĘŚĆ II

Górzno

„Trzeba było radzić sobie jak najlepiej i żyć z tego, co się miało, gdyż mogło być jeszcze gorzej”.

„[...] i czasem sąsiad zza płotu wołał z zapytaniem o godzinę”.

„Miała charakterystyczne brązowe trzewiczki, które bardzo głośno skrzypiały”.

„Lubiłam również pisać wiersze i śpiewać pieśni, które sama tworzyłam”.

„Wiedzieliśmy, że partyzanci chodzą po lasach, więc nikt tam raczej nie chodził i nie szukał problemu”.

„Pamiętam do dzisiaj jak leżał na drodze pod starą lipą”.

„Nie mogłabym zapomnieć Olka, Tadka, Haliny, Władka, Zbyszka, Irki oraz Weronki”.

„[...] mama dziadka opowiadała, że kogoś rozstrzelali, ale szczegółów tej historii nie pamiętam”.

„Do dziś pamiętam wiersze, których się uczyliśmy”.

Sukienka w gwiazdki

Jacek Gugąła, klasa II gimnazjum

– wywiad z babcią Wandą Witek

Świat w którym żyjemy jest światem techniki, komputerów, pośpiechu. Jest w nim miejsce na dzień dzisiejszy, przyszłość i – niestety rzadko – na przeszłość. Myślę, że tak nie powinno być. Powinniśmy doceniać przeszłość, ponieważ ona wpływa na teraźniejszość. Warto spędzać czas z rodziną, rodzicami, rodzeństwem, a zwłaszcza z dziadkami. Warto postuchać wspomnień starszej sąsiadki lub sąsiada, ponieważ są źródłem wielu cennych informacji, o których my, młodzi ludzie, bardzo często nie mamy pojęcia, ale gdy już postuchamy, to chcielibyśmy więcej.

Wywiad przeprowadziłem z moją babcią, Wandą Witek. Informacje, które usłyszałem od babci tworzą ciekawą historię naszej okolicy, dlatego uważam, że warto słuchać ludzi starszych, ponieważ – choć nie zawsze znają się na komputerach, czy telefonach komórkowych – to jednak mają wiele do opowiedzenia. Tylko trzeba dać im taką szansę.

Skąd pochodzisz?

Urodziłam się w lecie 1941 roku w Starym Goniwilku. W miejscowości tej nadal mieszkam i całe moje życie jest z nią związane. Byłam szóstym dzieckiem moich rodziców.

Jakie jest Twoje pierwsze wspomnienie z naszej miejscowości? Co to były za czasy?

Moje pierwsze wspomnienia z naszej miejscowości związane są z końcem II wojny światowej, kiedy Rosjanie wypierali Niemców z ziem polskich. Wówczas miałam zaledwie 4 latka. Pamiętam jak przez mgłę, kiedy w naszym domu Rosjanie zrobili punkt przekaźnikowy – w naszym domu była radiostacja w oddzielnym pokoju pod kluczem. Jeden z Rosjan pilnujących pokoju bardzo mnie polubił,

ponieważ miał żonę i dwie córki podobne do mnie. Dlatego często częstował mnie cukierkami i ciastkami. Był również fotografem – robił różne zdjęcia i również mi zrobił. Na zdjęciu mam sukienkę w gwiazdeczki i jestem bez butów. Stałam na stołku w kuchni. Włosy miałam krótkie i czarne. Zdjęcie niestety nie zachowało się do czasów współczesnych.

Czym zajmowali się Twoi rodzice?

Moi rodzice zajmowali się rolnictwem. Mieli około 3 hektarów ziemi. Jako młoda dziewczyna wstawałam o szóstej rano i pasłam krowy przez godzinę, a potem ubierałam się i szłam do szkoły.

Pamiętasz swoją szkołę?

Poszłam do szkoły w 1948 roku. W klasach było po około 25 uczniów. Pamiętam jeszcze moją najlepszą koleżankę Genowefę Salwę i mojego najlepszego kolegę, Tadeusza Zielińskiego. W szkole były: geografia, fizyka, chemia, język polski, język rosyjski, muzyka, matematyka, [wychowanie] artystyczne, historia i wychowanie fizyczne. Z przedmiotów najbardziej lubiłam historię i język polski.

Czy pamiętasz swoich nauczycieli?

Najbardziej zapadli mi w pamięć kierownik szkoły i tym samym nauczyciel języka rosyjskiego pan Piotr Dziuba – bliski przyjaciel mojego ojca. Często u nas przebywał. Pochodził z kresów wschodnich. Zapamiętałam jeszcze jego żonę Olgę Dziubę, która uczyła historii i była moja wychowawczynią. Kilka lat po wojnie rodzina Dziubów przeniosła się do Garwolina.

Czym się twoja szkoła różniła od dzisiejszej?

Szkoła była drewniana. Została wybudowana z inicjatywy mojego taty i innych mieszkańców wsi. Zawsze rano był apel. Ustawialiśmy się od najmniejszych do największych na korytarzu. Modliliśmy się, a starsi uczniowie czytali swoje prace. Lekcje przebiegały następująco – nauczyciel wchodził do klasy, my siadaliśmy w ławkach przypominających ławki w kościele. Pisaliśmy piórem maczanym w atramencie, bo nie było jeszcze długopisów. Na lekcjach używaliśmy też kredki świecowych i ołówków.

A co robiliście w czasie wolnym?

W twoim wieku już kończyłam szkołę, ponieważ wtedy było 7 klas podstawówki. Jak byłam młodsza, to graliśmy w piłkę nożną. Piłka była wykonana ze szmacianych gałganów. Bawiliśmy się także w grę, która polegała na tym, że wbijało się kotek w ziemię i trzeba było go wybić innym kijkiem¹.

Czym się zajmowałaś w dorosłym życiu?

Wyszłam za mąż w 1961 roku, a potem byłam po prostu rolniczką. W naszej miejscowości ludzie najczęściej zajmowali się rolnictwem, choć nie tylko. Na przykład mój mąż był rolnikiem, ale też i kierowcą. Po wojnie wielu młodych ludzi wyjechało do miast – Garwolina, Żelechowa – za lepszą perspektywą życia.

Czy w miejscowości albo w okolicy mieszkali ludzie innej narodowości albo innego wyznania?

Tak, mieszkali w okolicy – byli to Żydzi. Największe skupisko ludności narodowości żydowskiej było w Żelechowie. Tatuś opowiadał mi kiedyś, że podczas wojny obok nas, około 15 metrów od naszego domu byli ukrywani Żydzi. Ukrywała ich pani, która pracowała w Warszawie u lekarzy pochodzenia żydowskiego. Ta pani nazywała się Rozalia Król. A te dzieci które ukrywała to Szymon i Jadwiga. Oboje przeżyli okupację, a po wojnie ktoś ich zabrał. Najpierw Szymona, a potem Jadwigę. Kilka lat po wojnie Szymon przejechał do tej pani, która go uratowała. Pamiętam to. Chodziłam już do szkoły. Był to poniedziałek po Wszystkich Świętych. Mama robiła masło na wtorkowy rynek, był wieczór, a ja z siostrą odrabiałymy lekcje. Wszedł wtedy do domu wysoki mężczyzna o czarnych włosach. Przedstawił się, mama zaparzyła kawę z mlekiem, dała mu chleb posmarowany masłem i spytała, gdzie teraz jest i co porabia. Powiedział, że mieszka w Warszawie i studiuje medycynę.

Czy była w waszej okolicy świątynia innego wyznania, kaplica albo cmentarz?

Tak, w Żelechowie znajdowała się synagoga, lecz w czasie wojny

¹ Ta gra to klipa (patrz: „Nasze lata młodości” Jakuba Lewandowskiego).

została podpalona, a potem rozebrana. Jest również cmentarz żydowski, który się zachował do naszych czasów.

Jakie czasy wspominasz najlepiej, a jakie najgorzej?

Najgorzej wspominam lata powojenne, ponieważ brakowało pieniędzy, jedzenia i ubrań. Z biegiem czasu sytuacja zaczęła się poprawiać. Od czasów mojego dzieciństwa dużo się zmieniło. Na pewno zmniejszyła się ludność wsi, ale warunki życia ogólnie poprawiły się. Z drewnianych domów powstały murowane, a tuż obok powstały utwardzone drogi.

Strach i wesele

Klaudia Prządka, klasa II gimnazjum

– historia pani Janiny Bryzek

W listopadzie 2017 roku miałam zaszczyt przeprowadzić rozmowę z panią Janiną Bryzek, 92-letnią mieszkanką wsi Samorządki w powiecie garwolińskim.

Pani Janina urodziła się w Górznie w rolniczej rodzinie. Nie mieszkała tam długo, gdyż w domu panowała bieda, a jej rodzice wychowywali jeszcze jej młodszą siostrę. Dlatego Janinę pod opiekę wzięli dziadkowie z Wólki Ostrożeńskiej, zaś po ich śmierci opiekę nad nią sprawowali stryjek z żoną.

Żyło jej się tam dobrze, wujostwo miało duże gospodarstwo i niczego jej nie brakowało. Nie zaznała głodu, choć wspominała o tym, że sąsiedzi często jedli tylko ziemniaki z mlekiem. Gdy miała 12 lat, dziadek kupił jej bardzo drogi szal od krawca, który miał być jej przyszłym wianem. Ubrania były wtedy bardzo drogie, ale stryjek dbał o jej wygląd. Kupił jej w Łaskarzewie bardzo drogi kozuch i piękne buty.

Chodziła do szkoły w Wólce Ostrożeńskiej. Jako, że bardzo lubiła się ładnie ubierać, wujostwo kupiło jej kółko do przędzenia, a potem nauczyła się haftować. Podczas wojny wysiedleńcy z Poznania¹ nauczyli ją wyszywać. Piekła chleb, snuła krosna i opiekowała się czwórką dzieci stryjostwa. Jako młoda dziewczyna grała w teatrze utworzonym w remizie w sztuce pt. „Dziewczyna partyzanta”. Jeździła z tym teatrem na przedstawienia do Górzna i okolic. *To był piękny czas.* – wspomina.

Gdy zapytałam panią Janinę o czasy wojny ze smutkiem powiedziała, że był to okropny czas. Czuło się wszechobecny strach i niepewność, a jej rodzina także z tej racji, że miała duże gospodarstwo i musiała

¹ Po wcieleniu zachodnich ziem Polski do nazistowskich Niemiec w roku 1939 z Wielkopolski wysiedlono ok. 280 tysięcy osób – przedwojennych obywateli polskich, których przesiedlono do Generalnego Gubernatorstwa.

oddawać Niemcom 50 metrów zboża oraz zwierzęta w ramach kontyngentu¹. Wspomniła o dniu, w którym Niemcy wymordowali wieś Wanaty². *Baliśmy się bardzo, na niebie było widać tunę od ognia.* Opowiadała, że ludzie przestali chodzić do kościoła, bo bali się łapanek organizowanych przez gestapo³. – *W nocy Niemcy obawiali się partyzantów, więc omijali wieś, natomiast w dzień łapali ludzi i wywozili na roboty do swojego kraju* – powiedziała pani Janina. Co świt musiała wstawać, uciekać w pole i chować się, aby nie zostać złapaną. Niemieccy żołnierze dawali karty tym ludziom, którzy mieli jechać na roboty do Niemiec. W gospodarstwie na kontyngent mogło pracować tylko dwoje ludzi. Później na roboty Niemcy wywozili wszystkich, których udało im się złapać.

– *Gdy przyszli sowieci, to mówiono, że przyjaciele* – opowiada. – *Zrobili zabawę w Chotyni, aby zorientować się, ilu jest młodych mężczyzn w okolicy, których mogliby zaciągnąć do wojska. Pomimo, że część naiwnych młodzieńców przyszła na zabawę, to większość partyzantka ostrzegła w porę i Rosjanom nie udało się oszacować na ilu poborowych mogą liczyć. Chcieli wówczas sprawdzić w dokumentach gminy Górzno ilu jest mężczyzn, ale wójt spalił je wcześniej i powiedział, że zabrali je Niemcy. Rosjanie powywieszali więc wywieszki z informacją, że w danym dniu mężczyźni mają się stawić do wojska.* Jak wspomina moja rozmówczyni, stawiło się tylko dwóch, reszta uciekła.

Pani Janina wspomina z sentymentem wesela. Opowiada, że wtedy te uroczystości trwały dwa dni i organizowane były we wtorki i środy. Panny młode ubierały się wtedy tak, jak teraz: na biało, a do ślubu jechano konno. Bardzo lubiła wesela, gdyż aktywnie w nich uczestniczyła. Gdy wszyscy jedli, ona śpiewała z orkiestrą przyśpiewki. Kilka z nich zanuciła dla mnie. Oto fragment jednej z nich:

1 Kontyngenty w okupowanej Polsce – obowiązkowe dostawy żywności i innych materiałów rolnych narzucane na polską ludność wiejską przez władze okupacyjne nazistowskich Niemiec.

2 Wieś Wanaty została spacyfikowana 28 lutego 1944 roku. Siły niemieckie zamordowały wówczas 108 mieszkańców wsi.

3 Wielką łapankę na terenie powiatu garwolińskiego zorganizowano po masakrze w Wantach, w celu pozyskania niewolniczej siły roboczej dla III Rzeszy.

*Wczoraj się ożenił, dzisiaj się skrzywił
już się zafrasował czym ich będzie żywił.
Poszedł do stodoły, zabił sowę, nóżki
włożył w kluski, a w kapustę głowę.*

Bardzo się cieszę, że mogłam poznać panią Janinę Bryzek, która jest żywym świadkiem tak odległych dla mnie czasów. Po rozmowie z nią historia mojej okolicy stała mi się bliższa, miałam okazję przenieść się w czasy jej młodości i poczuć smak tamtych lat. To była najciekawsza lekcja historii w moim życiu.

Brązowe trzewiczki

Patryk Malinowski, klasa II gimnazjum

– wywiad z panią Jadwigą Malinowską

Życie układa dla nas różne scenariusze. Nie znamy zakończenia żadnego z nich, nasze życie to nieustanne tworzenie rzeczywistości, która po chwili staje się przeszłością, wpływającą na przyszłość i tylko czasem zastanawiamy się: *co by było, gdyby...* – gdybyśmy inaczej postąpili, spotkali na swej drodze innych ludzi, mieszkali w innym kraju, czy urodzili się w innej rodzinie. Im scenariusz starszy, im bardziej odległy od teraźniejszości, tym bardziej interesujący. Chciałem przybliżyć historię pani Jadwigi Malinowskiej – o tym jak II wojna światowa wpłynęła jej los.

Skąd pani pochodzi?

Urodziłam się w roku 1931 w miejscowości Kobyła Wola, 75 kilometrów od Warszawy. Miałam trójkę młodszego rodzeństwa: dwóch braci i siostrę. Pomagałam rodzicom w opiece nad nimi. Były pomiędzy nami duże różnice wieku, więc mogłam się nimi zajmować.

Czym zajmowali się pani rodzice?

Moi rodzice byli rolnikami, prowadzili gospodarstwo w naszej wsi. Raczej nieduże, jednak na tamte czasy nie odbiegało wyglądem od innych.

Jak wyglądała wtedy praca na roli?

Była zdecydowanie trudniejsza. Mnóstwo rzeczy robiło się ręcznie. W obecnych czasach maszyny w bardzo wielu kwestiach nas wyręczają. Zboże kosiło się kosami. Z reguły kosili mężczyźni, a kobiety za nimi odbierały skoszone już kłosa. Pamiętam, że gdy byłam już starsza, chodziliśmy wraz z kolegami kilkanaście kilometrów pieszo, aby kosić pola, aby sobie dorobić. Wychodząc o świcie, do domu wracaliśmy wieczorem.

Co robiła młodzież w naszym wieku w czasie wolnym?

Chłopcy grali w piłkę, a dziewczynki bawiły się w klasy, czy też inne gry. Był to bardzo aktywnie spędzany czas. Wieś była nieduża, wszyscy się dobrze znali. Dzieci spotykały się ze sobą i bawiły razem. Nie

potrzebowaliśmy komputerów i internetu. Radziliśmy sobie innymi sposobami. Bardzo miło wspominałam tamte czasy.

Pamięta pani swoją szkołę?

Poszłam do szkoły w wieku 7 lat, był to więc rok 1938. Do klas 1–4 chodziłam do szkoły w Kobyłej Woli. Była to mała szkoła, a klasy były kilkusobowe. Nierzadko, z powodu małej ilości dzieci, klasy były łączone z dwóch roczników. W 5, 6 i 7 klasie chodziłam do szkoły w Górznie. Tam w mojej klasie było około 25 osób. Pamiętam dobrze moich kolegów i koleżanki, choć duża część z nich już nie żyje. Niektórych jednak czasem widuję i chętnie powracam z nimi do dawnych czasów. Pierwsza szkoła była w Kobyłej Woli, więc była blisko. Zaś do piątej, szóstej i siódmej klasy chodziłam 6 km do Górzna. Chodziliśmy całą grupką pieszo i z reguły skrótami.

Czy pamięta pani swoich nauczycieli?

Tak, pamiętam moich nauczycieli i mam do nich wielki sentyment i szacunek. Najbardziej zapadła mi w pamięci nauczycielka matematyki. Była ona świetną nauczycielką jednak bardzo surową i wymagającą. Cała klasa bardzo się jej bała. Miała charakterystyczne brązowe trzewiczki, które bardzo głośno skrzypiały. Gdy wychodziła na lekcję z pokoju nauczycielskiego, było to słychać. Gdy dzieci usłyszały skrzypienie trzewiczków, bardzo szybko robiły się grzeczne i potulne – w całkowitej ciszy i skupieniu oczekiwaliśmy na zajęcia. Gdy uczniowie jednak odważyli się rozrabiać na jej lekcjach, ona karała je uderzeniem trzciny po rękach.

Czy w miejscowości albo w okolicy mieszkali ludzie innej narodowości albo innego wyznania?

Nie znałam ich osobiście. Słyszałam jednak od babci, że w pobliskich miejscowościach były rodziny ukrywające Żydów.

Czy pamięta pani początek wojny?

Pamiętam bardzo dobrze. Miałam wtedy niecałe osiem lat. Wraz z koleżanką bawiłyśmy się na łące z moim półtorarocznym bratem. Usłyszałyśmy niewyobrażalny huk samolotów. Zaczęłyśmy uciekać do domu koleżanki, bo mieszkała bliżej. Brat jednak był ciężki jak

na swój wiek, więc musiałyśmy go nosić na zmianę. Wróciłam do domu po kilku godzinach.

Co zapamiętała pani z lat wojny?

Przed moim domem w sadzie była kuchnia polowa. Pamiętam, że przychodziły tam i gotowały dziewczęta z wojsk rosyjskich, w mundurach trochę przypominających harcerskie. Zapadła mi też w pamięć sytuacja, gdy z samego rana do naszego domu przyszli żołnierze z Mongolii. Byli głodni, a moi rodzice dali im gotowane kartofle.

Gdzie oni mieszkali?

Mieszkali w domach u ludzi. Co dwie trzy noce przechodzili do innego domu. Pamiętam gdy kilku z nich spało u nas w domu. Mieli oni pościelone na podłodze w jednym z pokoiów.

Czy ktoś w pani miejscowości stracił życie z rąk okupantów?

Było kilka takich sytuacji. Był czerwiec, gdy sąsiad wracał w nocy od kolegów. Spotkał jednak żołnierzy niemieckich, którzy oskarżyli go o bycie szpiegiem i zastrzelili. Pamiętam do dzisiaj jak leżał na drodze pod starą lipą. Zaś po mojego brata stryjecznego przyjechali do domu, bo ktoś zdradził, że brał udział w dywersji. Wywieźli go kilka kilometrów na tak zwaną „Grabową Górę” i tam postrzelili. Pamiętam również sytuację, gdy szukali człowieka o nazwisku Buława. Na wsi były dwie rodziny o tym nazwisku, a żołnierze nie wiedząc o tym, postrzelili zupełnie niewinnego.

Jak zmieniła się Kobyla Wola od tamtego czasu?

Stała się oczywiście bardziej nowoczesna. Nowe drogi, sklepy, mnóstwo nowych domów i rodzin. W mojej starej szkole dzisiaj funkcjonuje Ochotnicza Straż Pożarna.

Kiedy wyprowadziła się pani ze swojej rodzinnej wsi i dlaczego?

Wyprowadziłam się o kilka kilometrów dalej, gdy wyszłam za mąż.

Mieszkam w Górznie do dziś, ale bardzo lubię powracać do Kobylej Woli. Wciąż mieszka tam duża część mojej rodziny.

Pani Jadwiga przeżyła bardzo dużo. Jej życie jest ogromnym źródłem wiedzy historycznej, pięknym świadectwem. Niech będzie to dla nas bodźcem, abyśmy doceniali czasy w jakich żyjemy i możliwości, jakie niesie ze sobą dzisiejszy świat.

Trzy zegary we wsi

Gabriela Sylwesiuk, klasa II gimnazjum

– wywiad z panem Janem Czyszkiem

W którym roku się pan urodził i gdzie?

Nazywam się Jan Czyszek, urodziłem się w 1928 roku w niewielkiej miejscowości Chęciny, znajdującej się w Gminie Górzno.

Co pan zapamiętał z dzieciństwa?

Moi rodzice zajmowali się gospodarstwem rolnym, a ja od najmłodszych lat im w tym pomagałem. Mając 6 lat poszedłem do szkoły, która znajdowała się w sąsiedniej wiosce Łąki. Pamiętam, że był to drewniany budynek, dość spory. Po wojnie został jeszcze rozbudowany. W tamtych czasach nie było dyrektora tylko kierownik, którym był pan Naporko. Co niedziela, kiedy było ciepło, pan kierownik, który mieszkał w szkole, wystawiał za okno gramofon, wtedy matki z dziećmi schodziły się na plac szkolny, aby posłuchać muzyki.

Czy może pan opowiedzieć o latach szkolnych?

W szkole były cztery klasy, które liczyły od 40 do 50 uczniów. Uczono nas niewielu przedmiotów. Był to: śpiew, rysunek, język polski i rachunek, który teraz nazywany jest matematyką. Była również namiastka biologii. Zeszyty obkładaliśmy w dość gruby, szary papier. Nigdy nie przepadałem za śpiewem, ponieważ sądzę, iż nie potrafię śpiewać, za to bardzo lubiłem rachunek, nie miałem z tym przedmiotem żadnych problemów. W szkole byliśmy tylko po 3–4 godziny dziennie.

Czy pamięta pan swoich nauczycieli?

Niestety nie, w pamięci został mi tylko pan kierownik. Nauczyciele, którzy nas uczyli, byli to ludzie przybyli do naszej miejscowości, tak zwani wysiedleńcy.

Czy w miejscowości albo w okolicy mieszkali ludzie innej narodowości lub wyznania?

U nas w Chęcinach jak i w Łąkach nie żyli tacy ludzie. W Górnicy były chyba dwie rodziny Żydów. Później w jednej wiosce w okolicy była jedna rodzina żydowska. Był to krawiec dość dobrego charakteru.

Czy w tamtych czasach była możliwość uczęszczania do kościoła?

Tak, była. Msze w kościele były o godzinie 9:00 lub 10:00, nie pamiętam dokładnie. Czasem była też druga msza, nieco później. Za moich czasów wszystkie matki i panny latem chodziły do kościoła boso. Buty zakładały dopiero przed wejściem. W kościele wszyscy stali, ponieważ nie było miejsc siedzących.

Jak zapamiętał pan wojnę?

Kiedy wybuchła wojna, pamiętam, że było bardzo dużo uciekinierów w naszej wsi. Większość z tych ludzi była spod Piaseczna. Pamiętam też przejściowe wojska. Pewnego wrześniowego południa, było wtedy bardzo ciepło, szedł jakiś żołnierz w długim płaszczu. Doszedł do niedużej górki, znajdującej się niedaleko naszych budynków, siadł i zaczął wysyłać sygnały świetlne lusterkiem. Znajdujący się w naszej wsi polscy żołnierze zabrali go na przesłuchanie, ale on nie chciał nic mówić. Tato mówił, że go zastrzelili.

Jakie czasy wspomina pan najlepiej, a jakie najgorzej?

Kiedyś były bardzo ciężkie czasy, chociażby dlatego, że nie było tylu lekarzy, co teraz. Dawniej przypadało 3–5 lekarzy na powiat. Trzeba było chodzić od najmłodszych lat do pracy u innych. Za przepracowany dzień przy zbieraniu ziemniaków płacono 70 groszy, a kiełbasa kosztowała 1,80–2 zł za jeden kilogram. Trzeba było pracować trzy dni, aby ją kupić. Najlepsze czasy były za Gierka¹. Można było wówczas uzyskać pożyczki niskoprocentowe. Stal była tania

¹ Edward Gierek (1913–2001) – działacz komunistyczny, I Sekretarz Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w latach 1970–1980. Do czasów objęcia rządów przez E. Gierka zadłużenie Polski było na relatywnie niskim poziomie. W ciągu 5 lat wzrosło ono gwałtownie, co podwyższyło w krótkim czasie standard życia w Polsce; jednak już w 1976 roku doszło do załamania i prób wprowadzenia drastycznych oszczędności, zakończonych protestami społecznymi. Władze ratowały się, sprzedając za granicę po obniżonych cenach produkcję rolną, co spowodowało braki w sklepach. Długi zaciągnięte w latach 70. XX wieku Polska spłacała do 2012 roku.

i ogólnodostępna. Wieś po drugiej wojnie światowej zaczęła się dość szybko rozwijać. W przeciągu 4–6 lat bardzo dużo się zmieniło.

Jakie wydarzenia z młodości pamięta pan najbardziej?

U nas na wsi były trzy zegary. Jeden z nich był w naszym domu. Był duży i trzeba go było codziennie nakręcać. Pamiętam, że chleb piekło się dwie godziny i czasem sąsiad zza płotu wołał z zapytaniem o godzinę.

Poznawanie historii może być bardzo przydatne. Nie tylko po to, aby przekazać ją innym, ale również nas samych może wiele nauczyć. Szacunek do innych i samego siebie jest bardzo ważną wartością. Poznając coś, co było kiedyś, możemy dostrzec nasze błędy. Nie powinniśmy lekceważyć słów ani nauk przekazywanych nam przez starszych. Możemy nauczyć się szanować to, co mamy i dostrzegać najmniejsze szczęście.

Pisanie wierszy

Daniel Chmielewski, klasa II gimnazjum
– wywiad z babcią Jadwigą Chmielewską

Świat wokół nas jest piękny i fascynujący. Jednak rzadko jest w nim miejsce na przeszłość. Czasem warto się zatrzymać i posłuchać, co mają do powiedzenia ludzie starsi, nasi dziadkowie, sąsiedzi, mieszkańcy naszych miejscowości. Są oni żywą historią, często niezwykłą i interesującą.

Wywiad przeprowadziłem z moją babcią Jadwigą Chmielewską, która podzieliła się ze mną wspomnieniami ze swego życia i chętnie odpowiedziała na zadawane pytania.

W którym roku się urodziłaś?

Urodziłam się 1938 roku w Woli Żelechowskiej, wsi położonej w powiecie garwolińskim, w dawnym województwie warszawskim. W miejscowości mieszkam do dzisiaj.

Jakie jest Twoje pierwsze wspomnienie z naszej miejscowości? Co to były za czasy?

Kiedy byłam jeszcze małą dziewczynką, najbardziej zapamiętałam czasy II wojny światowej. Wtedy żyliśmy w strachu, okna były zasłaniane plandekami, a domy w tamtych czasach były połączone z budynkami gospodarczymi, gdyż ludzie bali się wszelkich kradzieży. Pamiętam również moją siostrę, starszą ode mnie 10 lat, która dołączyła do grupy partyzanckiej. Uczestniczyła w różnych działaniach wojennych. W pamięci utkwiło mi też, jak Rosjanie zajęli nasz dom podczas wyzwolenia Polski z rąk Niemców. Pół mieszkania służyło im do magazynowania różnej amunicji, a druga połowa była częścią do gotowania zupy. Nasz dom był głównym magazynem w okolicy.

Z dzieciństwa zapamiętałam też przerażający moment. Gdy wraz z siostrą musiałyśmy przenieść amunicję w inne miejsce w domu.

Zapomnialiśmy o tym, że zostawiliśmy ją obok pieca. Z pieca wyleciały iskry na amunicję, która zaczęła strzelać w naszą stronę, a my zaczęliśmy uciekać. Zauważył to Rosjanin, który gotował zupę i on też uciekł. Na szczęście dom nie spłonął, a gdy wszystko ucichło i wróciliśmy do domu, zobaczyliśmy tylko dziury w ścianach. Było to ogromne przeżycie.

Czym zajmowali się twoi rodzice?

Moi rodzice zajmowali się głównie rolnictwem. Hodowali zwierzęta i z tego się utrzymywali.

Co robiła wówczas młodzież w waszym wieku w czasie wolnym?

Młodzież w tym czasie głównie grała w pikera¹, w piłkę, z pudełek robione były zabawki oraz jeżdżono na rowerach. Szyto lalki, piłki, strugano fujarki, robiono wózki dla lalek i samochody z drewna. Dziewczynki jak i ja często plotłyśmy wianki podczas pilnowania krów czy też gęsi. Latem, wiosną i jesienią grano w zbijanego, chowanego, łowiono ryby, strzelano z łuku, z procy. Bawiliśmy się też w wojnę i toczyliśmy fajerki².

Czym się wówczas zajmowałaś?

Głównie pomagałam w rolnictwie, pracy na roli. Pasąłam owce, krowy, kozy, gęsie i świnię. Lubiłam również pisać wiersze i śpiewać pieśni, które sama tworzyłam.

W którym roku poszłaś do szkoły?

Do szkoły poszłam, gdy się już skończyła wojna, w roku 1945. Do mojej klasy uczęszczało wtedy 20 osób. Miałam kilku przyjaciół. Pamiętam Zosię, Marysię, Stanisława, Stefanię i wielu innych kolegów i koleżanki. W szkole uczono nas biologii, geografii, matematyki, języka rosyjskiego, języka polskiego, gimnastyki, zajęć artystycznych, muzyki i religii. Było wtedy 7 klas, ale szkoła nie była obowiązkowa.

Czy pamiętasz swoich nauczycieli?

1 Pikra – gra podwórkowa, polegająca na zbijaniu kamieniem kijka wbitego w ziemię.

2 Fajerki – gra. Fajerki, czyli okrągłe metalowe obręcze od kaflowych pieców toczyły się za pomocą wygiętego drutu od linii startowej do mety narysowanej na ziemi (patrz: „Dziadkowe opowieści” Weroniki Makulec).

Najbardziej pamiętam panią Jadwigę, która uczyła mnie polskiego oraz swoją wychowawczynię Mariannę Zatykę, dlatego, że to ona szczególnie wychowała naszą klasę i tak prowadziła lekcje, żeby każdy chciał na nie przychodzić i słuchać jej z przyjemnością.

Czy w miejscowości albo w okolicy mieszkali ludzie innej narodowości, albo innego wyznania?

W okolicach Żelechowa mieszkali głównie Żydzi, ale byli też Rosjanie i Niemcy.

Czy miałaś wśród nich kolegów albo koleżanki?

Nie, nie miałam takich kolegów i koleżanek.

Czy była w naszej okolicy świątynia innego wyznania, kaplica albo cmentarz?

Pamiętam, że był kościółek wyznania niemieckiego w Stefanowie, a w Żelechowie była synagoga i cmentarz żydowski.

Jakie czasy wspominasz najlepiej, a jakie najgorzej?

Najlepiej wspominam czasy współczesne, gdy nie było wojny. Ludzie żyli w spokoju, a nie w strachu i ciągłym ukrywaniu się. Kiedyś były zupełnie inne czasy niż teraz. Wcześniej nie było emerytur, a dzieci bogatsze utrzymywały swoich rodziców na starość. Najgorzej wspominam czasy okresu wojny – braku wszystkiego. Trzeba było radzić sobie jak najlepiej i żyć z tego, co się miało, gdyż mogło być jeszcze gorzej.

Czasy wojny zapamiętałam bardzo źle. Wtedy nie było spokojne jak teraz. Domy, w których ludzie mieszkali były wykorzystywane do celów wojskowych np. jako magazyny materiałów, amunicji albo jako punkty łączności. Zapamiętałam także czas, w którym Rosjanie opuszczali Polskę i wyjeżdżali do Rosji. Ludzie żegnali ich kwiatami i wiankami. Pamiętam również, jak powstały w lasach koło Żelechowa oddziały partyzanckie. Należał do nich również oddział żydowski, do którego trafiło kilku młodych ludzi, którym udało się uciec w czasie likwidacji getta w Żelechowie lub wyskoczyć z transportu do Treblinki. Do oddziału partyzanckiego należała także moja starsza siostra, która później opowiadała mi o akcjach wykonywanych potajemnie.

Jak od czasu twojego dzieciństwa zmieniła się nasza miejscowość?

Powstało wiele nowych budynków – nowoczesnych. Nie takich jak wcześniej – połączonych z budynkiem gospodarczym. Gospodarka poszła do przodu. Pracę rąk zastępują teraz maszyny. Zamiast sierpów i kos do koszenia zboża teraz są kombajny, a zamiast koni wszelakiego rodzaju ciągniki i inne maszyny. Teraz drogi są asfaltowe, a kiedyś drogi były z kamieni. Na pewno unowocześniono sklepy i sieci komunikacyjne.

Dziękuję, babciu, za rozmowę.

Łapanie wróbli

Weronika Makulec, klasa II gimnazjum

– historia dziadka Henryka

Kiedy przyjechałam z moją rodziną do 74-letniego dziadka Henryka byłam pełna obaw. Myślałam, że dziadek niechętnie będzie opowiadał mi swoje historie. Na szczęście moje przypuszczenia nie potwierdziły się, bo dziadek z chęcią opowiedział mi o swoim życiu.

Urodził się w listopadzie 1943 roku w pobliskiej miejscowości – Łąkach. Jego rodzice zajmowali się rolnictwem, hodowali świnie i krowy oraz uprawiali wiele zbóż. Swoją szkolną przygodę rozpoczął w wieku 7 lat. W jego klasie uczyło się 23 uczniów, co sam określił jako bardzo dużo. Zapytany przeze mnie o szkolne zabawy i przygody z przyjaciółmi, odpowiedział: „Lubiliśmy razem grać w piłkę zrobioną z gałganów, w fajerkę i w szczyryk”. Wszystkie zabawy były dla mnie dziwną nowością, jednak najbardziej zaintrygowała mnie gra w fajerkę. Zapytałam więc dziadka na czym ona polegała, ten odpowiedział mi, że brali żeliwne obręcze z płyty kuchennej i turlali je do siebie. Tak mała rzecz, a tyle radości.

Zastanawiałam się, ile trwała jedna lekcja, na to dziadek odpowiedział: „Jedna lekcja trwała całą godzinę, zaś przerwy były dziesięciminutowe. Z racji, że nie było wtedy u nas prądu, po korytarzu chodziła pani woźna z dzwoneczkiem i ogłaszała wszystkim przerwę”. Ciekawiło mnie, czego uczono wówczas w szkołach. Dowiedziałam się, że uczniowie uczyli się: matematyki, języka polskiego, historii, biologii, uczęszczali również na zajęcia z prac codziennych. Dziadek najbardziej lubił uczyć się matematyki, a jego największą bolączką była nauka historii i związanych z nią dat. Powiedział mi również, że najwięcej problemów sprawiła mu ona w szóstej klasie, ponieważ to z jej powodu nie zdał do następnej klasy.

Gdy zapytałam go o nauczycieli, zaczął wymieniać mi wiele nazwisk i w tym samym momencie przypomniała mu się śmieszna historia.

Pewnego dnia, gdy szedł do szkoły, zapomniał wziąć tornister, zorientował się dopiero po przyjeździe do szkoły. Wszyscy, którzy siedzieliśmy obok dziadka, zaczęliśmy się bardzo głośno śmiać, jednak wiedzieliśmy, że w tamtym momencie dziadkowi wcale nie było do śmiechu. Mimo to wspominając tę historię, sam też się śmiał. Powiedział nam, że chodził do szkoły razem ze swym kolegą, który codziennie rano zachodził po niego. Rzadko kiedy przyszedł, gdy dziadek był gotowy – zwykle zastawał go zaspanego i leżącego w piżamie w łóżku. Edukacja szkolna kończyła się na ośmiu latach podstawówki.

Po ukończeniu szkoły dziadek wraz ze swymi braćmi – Jankiem i Edwardem – zaczęli pomagać rodzicom w pracach polowych. W wieku 19 lat udał się na obowiązkową służbę wojskową na Hel. Zajmował się tam kontrolą kutrów wodnych. Wrócił do rodzinnego domu po dwóch latach.

Byłam bardzo ciekawa, jak poznali się z moją babcią, więc go o to zapytałam. Dziadek odpowiedział, że pewnego razu jechał drogą, a przed nim pewna znajoma kobieta zaganiała krowy. Kiedy zauważyła dziadka, zaprosiła go do domu. Tam poznał jej córkę Bogumiłę. Wzięli ze sobą ślub w lipcu 1971 roku. Ciekawiło mnie, czy w Łąkach byli jacyś obco-krajowcy. Powiedział, że w 1944 roku, gdy był jeszcze małym dzieckiem, w tamtejszym lesie w tzw. ziemiankach skrywali się Rosjanie, którzy czekali na rozkazy. Przychodzili oni do ludzi po jedzenie, bawili się z nimi i tańczyli. Żadna ze stron nie była do siebie wrogo nastawiona, a wręcz przyjaźnie, co zaskoczyło mnie i moją siostrę.

Poprosiłam dziadka, by porównał dzisiejsze Łąki do tych dawnych. Powiedział, że szkoła miała wówczas zaledwie trzy sale i była drewniana, podobnie jak budynki mieszkalne. Kościół oraz sklepy były oddalone od ich domu około 7 km. Codzienne zakupy były podobne, najczęściej kupowano naftę, zapałki i sól. Zapytałam również o jedzenie. Odpowiedział, że w domach co dwa tygodnie pieczono chleb, zaś gorące dania przyrządzano w miarę możliwości jak najczęściej, zwykle były to trzy posiłki.

Zapytałam też dziadka o młodsze lata i przygody. Opowiedział mi ich wiele, jednak najbardziej zapamiętałam dwie z nich. W wieku

około 16 lat wraz z kolegami łapali wróble, po czym podrzucali je do mieszkań znajomych, by fruwały po domu. Opowiadał mi też o pewnym starszym człowieku, który nie miał żadnej rodziny. Mieszkał on w lesie w małym drewnianym domku i żywił się tym, co było dostępne w lesie lub tym, co ludzie mu przynieśli. Pewnego razu dziadek wraz ze swymi przyjaciółmi wzięli kamyki i uderzali w jego okienka. Rozzłoszczony staruszek zaczął ich wtedy gonić. Z tej opowieści dziadek nie był jednak szczególnie dumny – po latach, wspominając ten wybryk, bardzo go żałuje.

Byłam też bardzo ciekawa, czy po zajęciach szkolnych mieli jakieś zabawy lub dyskoteki. Podobno spotykali się razem i pomagali sobie w różnych pracach gospodarskich, zaś później zaczynali się bawić i tańczyć. Nie mieli co prawda radia ani głośników, ale jedna osoba grała na akordeonie i w ten sposób odbywały się dyskoteki.

Z racji tego, że przeprowadzałam z nim wywiad niedługo przez świętami Bożego Narodzenia zapytałam go, jak je spędzali i czy bardzo się różniły od tych dzisiejszych. Dziadek powiedział, że do kościoła jeżdżono na wozach na pasterkę. Kolędnicy odwiedzali domy w przebraniach i śpiewali kolędy. Gdy ksiądz przychodził z kolędą do domów, nie było zwyczaju, aby dawać mu pieniądze, dawano zaś jajka, zboże lub mąkę. Z kolei na Wielkanoc, po mszy, w drodze powrotnej wszyscy ścigali się na wozach, aby być jak najszybciej w domu ze swą rodziną. Powiadano również, że kto pierwszy przyjedzie, temu najwcześniej wyrosnie zboże.

Dziadek podsumowując historię swojego życia uznał, że tęskni za dawnymi czasami. Teraz może je z nami wspominać i opowiadać.

Cieszę się, że wystuchałam opowieści dziadka Henryka, dowiedziałam się wielu ciekawych rzeczy, o których świat może kiedyś zapomnieć.

Dziękuję Dziadku za wywiad!

Opowiedz mi, jak było kiedyś

Karol Wiącek, klasa II gimnazjum

– wywiad z babcią

W erze Internetu, smartfonów, wszechobecności wszelkiego rodzaju mediów, bardzo często zapominamy o historii naszego kraju oraz o tych, którzy zobaczyli i przeżyli więcej od nas. Poświęćmy im trochę naszego czasu i posłuchajmy ich. Przekonałem się, że dzięki temu zyskamy niesamowitą wiedzę o tym, jak było kiedyś.

Z moją babcią nigdy nie rozmawiałem o przeszłości i pewnie bym nie porozmawiał, gdyby nie projekt Akademii Młodego Obywatela. Przypomniało mi to również o rzeczy najważniejszej – aby ludzi kochać, zanim odejdą – jak pisał ksiądz Twardowski. Warto tę maksymę wprowadzać w życie, a kochać to również znaczy szanować i słuchać, bo najstarsi często mają dużo historii do powiedzenia.

Babciu, w którym roku się urodziłaś i gdzie początkowo mieszkałaś?

Urodziłam się w roku 1955 i mieszkałam w Miastkowie Starym – czyli tam, gdzie mieszkali moi rodzice Janina i Władysław.

Czym zajmowali się pradiadkowie?

Wówczas praktycznie każdy zajmował się rolnictwem. Ze wsi mało kto wyjeżdżał na emigrację, tak jak dzisiaj. Moja mama zajmowała się rolą, zaś tata był traktorzystą, bo ówczesnie istniał już taki zawód.

Gdzie chodziłaś do szkoły?

Moją pierwszą szkołą, była Publiczna Szkoła Podstawowa w Oziemkówcach. Kiedy do niej przystąpiłam miałam 7 lat, był to rok 1962. Moja klasa liczyła wtedy około 20 osób. Raczej pamiętam nazwiska moich rówieśników, ale chyba nie poznałabym ich teraz na ulicy. Przedmioty były niemal takie same, jakich uczysz się dzisiaj, ale niektóre inaczej się nazywały. Np. my mieliśmy wychowanie plastyczne, a wy macie plastykę i zajęcia artystyczne. Wracając

do pytania – moim ulubionym przedmiotem była matematyka, ponieważ miałam bardzo miłą nauczycielkę. Owszem, pamiętam wszystkich nauczycieli, jednak najbardziej utkwiała mi w pamięci pani Waleria Baran – nauczycielka matematyki, gdyż jak mówiłam, była bardzo sympatyczną kobietą.

Co robiła w tamtych czasach młodość poza szkołą?

Większość moich rówieśników, podobnie jak ja, spędzała czas wolny, pomagając rodzicom w prowadzeniu gospodarstwa domowego. Oprócz tego wieczorem wychodziliśmy na wieś, chłopcy grali w piłkę nożną, zaś w zimę – w hokeja na zamrożonych sadzawkach. Gdy byliśmy już bliżej wieku, w którym wybiera się szkołę średnią, wychodziliśmy do remizy na miejscową dyskotekę.

Kiedy już z dziadkiem przeprowadziłaś się do Chęcina, jakie było twoje pierwsze wrażenie tuż po przeniesieniu?

Muszę ci Karolu powiedzieć żartobliwie, że biedę tylko widziałam. Tego typu wsie były odcięte od świata, żyły swoim rytmem, więc jakiegoś wielkiego wrażenia wtedy nie miałam.

Czy w Chęcinach, czy Miastkowie żyli ludzie innych narodowości?

Może chodzili z tobą do klasy lub szkoły?

Po II wojnie światowej już nie było innych narodowości w naszej okolicy¹. Jedynie co pamiętam, to że jeden Ukrainiec chodził do jednej z młodszych klas.

Jakie okresy wspominasz najlepiej?

Oczywistym jest, że najlepiej wspominam czasy szkolne, czasy młodości, kiedy człowiek nie miał praktycznie nic na głowie. Z czasem, kiedy trzeba było zakładać rodzinę, byliśmy obciążeni obowiązkami, co nie należy do przyjemnych rzeczy.

Czy było jakieś wydarzenie w szkole, które utkwilo ci w pamięci?

Do tej pory pamiętam, jak mój kolega podpalił beczkę ze smołą, która stała przed szkołą. Łatwo się domyśleć, że beczka wybuchła,

¹ Przed drugą wojną światową Polska była krajem wielonarodowym – Polacy stanowili ok. 68% mieszkańców kraju, a mniejszości narodowe pozostałe 32%. W wyniku wojny i zmian granic Polska stała się krajem niemal całkowicie jednolitym etnicznie.

burząc pół szkoły w Oziemkówcze. Inną sytuacją z udziałem tego samego chłopaka było to, jak zimą podczas dużego mrozu język mu przywarł do barierki, którą właśnie polizał.

Jak zmieniły się miejscowość przez lata twojego życia?

Na pewno przybyło budynków mieszkalnych. Jest czyściej, wszystko jest bardziej zadbane. Kiedyś gospodarstwa były porośnięte pokrzywami, a płoty cały czas się waliły. Pootwierano nowe sklepy, w skrócie – standard życia na pewno się poprawił.

Czy twoi rodzice opowiadali ci coś o wojnie?

To nie są już moje czasy, jednakże mój tato Władysław był wywieziony do Niemiec na prawie 6 lat. Moja teściowa zaś opowiadała, że niedaleko naszego domu mieszkali niemieccy oficerowie, którzy często paradowali po wsi z bronią w ręce. Kojarzę również to, jak mama dziadka opowiadała, że kogoś rozstrzelali, ale szczegółów tej historii nie pamiętam.

Wiersze, które znaliśmy

Gabrysia Galińska, klasa II gimnazjum

– rozmowa z babcią Elżbietą

W którym roku się urodziłaś? Skąd pochodzisz?

Urodziłam się w 1946 roku w Mińsku Mazowieckim, w którym spędziłam rok swojego życia, a następnie rodzice podjęli decyzje o przeprowadzce do małej wsi o nazwie Lusiny na Mazurach, nieopodal Bartoszczyca.

Co najbardziej zapamiętałaś ze swojego dzieciństwa?

Najbardziej zapamiętałam szkolne lata. Bardzo miło je wspominam i często w myślach wracam do tych chwil.

W którym roku poszłaś Babcią do szkoły? Pamiętasz swoich dawnych przyjaciół ze szkolnych ławek?

Do szkoły poszłam w roku 1952. Oczywiście, że pamiętam swoich kolegów i koleżanki. Nie mogłabym zapomnieć Olka, Tadka, Hali, Władka, Zbyszka, Irki oraz Weronki. Z Weronką spotkałam się w zeszłe lato na Mazurach, kiedy pojechałam odwiedzić rodzinę. Powspominałyśmy dawne czasy, wypiliśmy kawę. To wspaniałe uczucie zobaczyć kogoś, z kim spędziło się całe dzieciństwo.

Jakie przedmioty były wtedy nauczane?

Uczono wtedy takich przedmiotów jak botanika, nauka o człowieku, matematyka, historia, lecz najbardziej lubiłam lekcje języka polskiego. Do dziś pamiętam wiersze, których się uczyliśmy. Pamiętam swoich nauczycieli, natomiast najbardziej utkwił mi wszyscy dyrektorzy mojej szkoły podstawowej. Pierwszy z nich – Jan Żabiński, był bardzo surowy. Kiedy ktoś udzielał złej odpowiedzi, bił po rękach linijką. Tak było w moich czasach. Nauczyciel mógł wszystko. Kolejnym dyrektorem był pan Wacław Strużyk. Jedna historia z jego udziałem utkwiła mi w pamięci. Był to ostatni tydzień wakacji. We wrześniu miałam zacząć pierwszy rok w nowej szkole. Razem

z kolegami udałam się pod budynek szkoły, ponieważ rosły tam orzechy. Nie pomyśleliśmy, że może nas złapać dyrektor, a tak się właśnie stało. Uciekaliśmy ile sił w nogach, żeby się schować, ale tydzień później zostaliśmy wycytani na szkolnym apelu i dyrektor przy całej szkole powiedział, że kradliśmy orzechy i za karę musieliśmy napisać tysiąc razy, że już więcej tego nie zrobimy. Mimo tej kary, nie żałowaliśmy wówczas tej przygody.

Czym zajmowali się twoi rodzice?

Mój tata pracował w PGR-ze¹. Był tam stróżem, rozwoził mleko i zajmował się zwierzętami. Natomiast mama zajmowała się domem, mną i moim rodzeństwem, a było nas w sumie ośmioro. Staraliśmy się pomagać rodzicom, jak tylko mogliśmy, aby było im łatwiej.

Jaki był twój zawód?

Ukończyłam Szkołę Przysposobienia Rolniczego, dlatego też kilka lat również pracowałam w PGR-ze. Potem, kiedy poznałam dziadka i przeprowadziliśmy się na Lubelszczyznę, rozpoczęłam pracę jako kucharka w miejscowym przedszkolu. Byłam także sprzedawczynią oraz prowadziłam z dziadkiem małe gospodarstwo. Poza tymi zajęciami byłam też mamą i wychowywałam swoje dzieci.

Czy w twojej miejscowości mieszkali ludzie innej narodowości?

Tak. Mieszkali głównie Niemcy oraz Ukraińcy, którzy pracowali w PGR-ach. Jedną z moich przyjaciółek była Irka Denmidowicz.

Jakie czasy wspominasz najlepiej, a które najgorzej?

Najlepiej kojarzy mi się moje dzieciństwo, ale w czasach PRL-u było najgorzej, a także wówczas, kiedy trzeba było dorosnąć i założyć rodzinę. Trzeba dobrze korzystać z tego czasu, w którym jedynym problemem jest „jedyńka” w szkole.

Jakie wydarzenie z młodości utkwiło ci w pamięci najbardziej?

Pamiętam sytuację, kiedy szłam z kolegami z podwórka do szkoły.

¹ Państwowe Gospodarstwo Rolne – gospodarstwo rolne, którego właścicielem był budżet państwa. Forma własności ziemskiej i produkcyjnej funkcjonująca w Polsce w latach 1948–1993. Tuż przed likwidacją w latach 90. XX w. w Polsce funkcjonowało ponad 1600 PGR-ów.

Była sroga zima, a my, aby dojść do szkoły, szliśmy przez zamrożone jezioro. W pobliżu widzieliśmy tylko mężczyznę, który łowi ryby. Nie zwracaliśmy na to uwagi i szliśmy dalej. Nagle wpadłam do wody. Był tam przerębiel, którego nie zauważyłam. Moi koledzy spanikowali i uciekli do domu. Musiałam sobie sama poradzić. Było bardzo zimno, ale zdołałam wyjść z wody. Wtedy zobaczył mnie ten rybak, owinał w ciepły koc i zaniósł do domu. Kiedy dotarłam do niego okazało się, że w międzyczasie moi koledzy – przekonani, że się utopiłam – powiedzieli to mojej mamie. Na szczęście wszystko się dobrze skończyło.

Jak zmieniła się twoja miejscowość?

Powstały nowe domy, bloki. Jest droga asfaltowa. Kiedy tam mieszkałam były tylko drogi z piachu. Niestety nie mieszkam już tam od czterdziestu ośmiu lat, więc dostrzegam tam różnicę za każdym razem, gdy pojadę w odwiedziny.

Na koniec chcę zapytać, jak poznałeś się z dziadkiem, skoro on pochodził z drugiego końca Polski?

Ze Stefanem poznałam się w PGR-ze, kiedy on służył w wojsku i przyjechał wraz z innymi żołnierzami ze swojej jednostki, aby pomóc w żniwach i wykopkach.

Dziękuję ci bardzo babciu za ten wywiad. Cieszę się, że miałaś ochotę przypomnieć sobie historie z tamtych lat.

Ja też ci bardzo dziękuję.

Wspomnienia z lat młodości...

Kamila Owczarczyk, klasa II gimnazjum

– historia babci Krystyny

To niezwykła i poruszająca opowieść mojej babci Krystyny, która urodziła się w 1940 r., podczas drugiej wojny światowej.

Z zawodu jest rolniczką. Od dzieciństwa mieszkała w niedużej, lecz szybko rozwijającej się wiosce Kobyla Wola, na terenie województwa mazowieckiego. Pierwszym wspomnianym epizodem z jej dzieciństwa był wielki pożar, który zniszczył większą część budynków tej miejscowości. – *Nie wiedziałam, co się dzieje – nagle wielki ból targnął moim sercem. Dopiero później zrozumiałam, że nie mam gdzie mieszkać, nie mam domu....* – relacjonowała. To wydarzenie zostawiło trwałe ślady w jej pamięci, o czym świadczą te wspomnienia.

Jej rodzice zajmowali się rolnictwem. Młode lata babci upłynęły na pomocy przy dużym gospodarstwie rolnym rodziców oraz zabawie w gronie rodzeństwa. Jednak zabawa w owych czasach niczym nie przypominała obecnych. Zamiast grać na telefonie czy komputerze, popołudnie spędzała na graniu w klasy bądź bawiła się lalkami, które własnoręcznie wykonywała jej mama. Trudna sytuacja materialna z jaką borykało się większość ludności wiejskiej, spowodowała, że rozpoczęła pracę już w wieku piętnastu lat. Szyła ubrania, a następnie je sprzedawała, co było bardzo popularnym zajęciem wśród dziewcząt. Ciężko zarobione pieniądze zazwyczaj dawała rodzicom, by im pomóc finansowo.

Jej pierwszy dzwonek na lekcje zadzwonił w 1947 r., zaledwie dwa lata po zakończeniu wojny. Chodziła do piętnastoosobowej klasy. Dobrze pamięta swoich kolegów. Przedmioty szkolne nie sprawiały jej trudności. *Najbardziej lubiłam język polski i historię, interesowałam się też muzyką.* – z uśmiechem wspomina.

Pamięta dokładnie nauczycieli, którzy ją uczyli. Pani Krystyna nie posiadała plecaka, gdyż owe artykuły były niemożliwe do kupna, ponieważ

nie było ich w zrujnowanym przez wojnę kraju. Nie sprawiało to na szczęście żadnego kłopotu, gdyż jej mama zadbała o uszycie solidnej torby z materiału, w której mogła nosić swoje książki. Pisała piórem, by nauczyć się ładnego pisania. W tamtych czasach wycieczki szkolne prawie wcale się nie odbywały.

Niedaleko jej wsi, w Józefowie, mieszkali wyznawcy prawostawia, jednakże nie utrzymywała z nimi kontaktu. W okolicy nie było świątyń innych wyznań.

Pierwsze lata po wojnie były bardzo ciężkie, w pokrytych strzechą domach mieszkało po kilka rodzin. To była codzienność tamtych czasów. Największym uciążliwością była żywność wydawana na kartki, co dziś wydaje się nie do pomyślenia. Po wojnie w wiosce znajdowało się lotnisko polowe. „Kiedy miałam pięć lat razem z całą rodziną chowałam się do piwnicy. W naszym mieszkaniu często spali polscy żołnierze”. -wspominała

Ten trudny okres w dziejach Polski zostaje już jedynie kartką w pamiętniku. A Kobyła Wola rozrosła się i bardziej zaludniła. Już w niczym nie przypomina tej wioski z połowy dwudziestego wieku. Dzięki babci Krystynie mogliśmy cofnąć się do tamtych lat, gdzie nie zawsze było tak łatwo i beztrudno jak dziś.

Radość z pary butów

Iza Lis, klasa II gimnazjum

– wywiad z panem Henrykiem Czajką

W który roku się pan urodził?

Urodziłem się w 1930 roku. Moi rodzice byli rolnikami. Mieliśmy mały dom, który składał się z jednego pokoju i kuchni. Podłoga była z gliny, ale dom zbudowany był z betonu.

Co pan najbardziej zapamiętał z dzieciństwa? Co to były za czasy?

Myślę, że najbardziej zapamiętałem wydarzenia związane z II wojną światową. Pierwszy września 1939 roku zapamiętam w mojej głowie do samej śmierci. Były to czasy skrajnej biedy i ogromnego strachu.

Jak wówczas młodzież spędzała wolny czas? W co się bawiła?

Graliśmy w piłkę nożną i dwa ognie. W zimę zbieraliśmy się w jednym miejscu i rzucaliśmy w siebie śnieżkami. Gdy znaleźliśmy idealne miejsce na lodowisko, wszyscy robiliśmy sobie sami tyżwy z drewna i przyczepialiśmy do nich pręty od kos.

Jaki był pana zawód, czym się pan zajmował?

Zostałem rolnikiem.

W którym roku poszedł pan do szkoły?

Udałem się do szkoły w 1937 roku. W klasie było nas około 24. Kolegów pamiętam i moje koleżanki – były ładne i dobrze się uczyły. Grały z nami w piłkę nożną i w pikora. Uczono nas matematyki. Nie było w szkole historii. Nie mieliśmy też obcego języka – nie uczyłem ani się rosyjskiego ani niemieckiego. Najbardziej pamiętam szkołę powojenną. W pamięci utkwiał mi zwłaszcza mój swojego wychowawca pan Lucjan. Był on nauczycielem wszechstronnym. Wcześniej pracował jako oficer w wojsku i był w Armii Krajowej. Pamiętam, że na zajęciach gimnastyki często uczyliśmy się maszerować. Pamiętam też, że gdy wojska rosyjskie wkroczyły do kraju, zesłano go na Syberię na 10 lat, cudem wrócił do kraju.

Czy w pana miejscowości albo w okolicy mieszkali ludzie innej narodowości, albo innego wyznania?

W sąsiedniej wsi mieszkali koloniści niemieccy z okresu I wojny światowej. Nie spotkałem się z ludnością innego wyznania i nie miałem wśród nich kolegów.

Jakie czasy wspomina pan najlepiej, a jakie najgorzej?

Najgorsze były czasy wojny, spalono nam stodołę. Zrzucono też bombę 500 metrów od mojego domu. Z moimi kolegami i kolegankami byliśmy w takim szoku, że uciekliśmy do lasu, gdyż odgłos tego wybuchu był bardzo duży.

Najmilej zaś zapamiętałem moment, w którym cieszyłem się z butów, kiedy je otrzymywałem, gdyż na co dzień ich nie nosiłem.

Jakie wydarzenie z dzieciństwa utkwіło panu w pamięci?

Niedaleko pastwiska, na którym pastem krowy, był sad. Pamiętam, że żołnierze rosyjscy ze szpitala w sąsiedniej miejscowości przychodzili tam na jabłka i zawsze siadali niedaleko mnie. Czasami prosiłem ich o jedno jabłko, chętnie mnie częstowali. Któregoś dnia zapytałem, czy mógłbym postrzelać z karabinu. Oni mi na to pozwolili. W karabinie było 5 naboі i kiedy dotknąłem spustu, to wystrzeliły wszystkie pięć – nawet ci żołnierze się przestraszyli.

Druga historia wydarzyła się, gdy byłem sam w domu. Do izby weszli żołnierze rosyjscy. Powiedzieli, że muszą z nimi pojechać wozem. Miałem wtedy czternaście lat i bardzo się bałem. Najpierw pojechaliśmy za miejscowość Łaskarzew i tam byliśmy na tyle długo, że zrobiło się późno i poszliśmy tam spać. Rano pomagaliśmy im z drzewami, przeciągaliśmy je do drogi, aby potem było im łatwiej je przetransportować. Spędziłem tam w sumie trzy dni. W niedzielę pojechaliśmy bliżej Wisły. Było tam bardzo dużo wojska i kuchni polowych, z których dym było widać daleko. Zgubiłem mężczyzn z mojej miejscowości, ale potem zobaczyłem jakichś dwóch chłopów, którzy prosili o przepustkę. Pierwszy dostał bez problemu, a drugi rozpląkał się i też dostał. Nie chciałem tam dłużej być, więc też się bardzo rozpląkałem i też dostałem przepustkę. Okazało się,

że ci chłopcy mieszkali w miejscowości, która była tuż obok mojej. Wróciłem z nimi. Mój tata bardzo ucieszył się, gdy mnie zobaczył.

Czy widział pan oddziały partyzantów?

Wiedzieliśmy, że partyzanci chodzą po lasach, więc nikt tam raczej nie chodził i nie szukał problemu.

Jak od czasu pana dzieciństwa zmieniła się nasza miejscowość?

Wieś zaczęła rozwijać się od czasu komasacji¹, która odbyła się w 1925 roku. Znajdowało się wówczas około stu gospodarstw. Na przestrzeni lat wioska zaczęła się rozrastać i unowocześniać. Zaczęły pojawiać się nowe maszyny rolnicze i nowi mieszkańcy.

Dziękuję za poświęcony mi czas.

1 Komasacja – przymusowa wymiana rozdrobnionych gruntów w celu ich scalenia w większe obszary, które można lepiej gospodarować.

Raciąż

„W jej świecie szacunek dla drugiego człowieka, punktualność i słowo to rzeczy święte”.

„Teraz mają te pudła, w te pudła patrzą, nikt do nikogo nie przychodzi”.

„Przewagę zdobyli ludzie źli, a dobrzy zostali zastraszeni i milczeli albo udawali, że nie widzą”.

„Był nakryty jakąś tkaniną i to mnie bardzo wystraszyło, byłam jeszcze dzieckiem i nie znałam ich tradycji i sposobu modlenia się. Nikt nam też tego nigdy nie tłumaczył”.

„[...] przy odjeździe grała polska orkiestra. Za rozkazem komisarza ściągnięto wszystkich grajków, jacy byli w okolicy”.

„Słowa Pani Ewy zmusiły mnie do refleksji”.

„[...] ale ludzie byli bardzo życzliwi ze sobą, rozmawiali”.

Trzy lipy z raciąskiego rynku

**Dominika Skierkowska i Krystian Fijałkowski, klasa III gimnazjum
– wywiad z Kazimierzem Adamskim**

Pamiętam z dzieciństwa taki obraz: pole, pełno młodzieży i pełno małych dzieci. W pewnej chwili, gdy szedłem na godzinę 7 do kościoła, było słychać głośne huki dochodzące spod Mławy, kiedy na niebie pojawił się ogromny niemiecki samolot, który ciągle krążył nad Raciążem. To jeden z obrazów dzieciństwa Kazimierza Adamskiego, rodowitego Raciążanina urodzonego w listopadzie 1927 roku.

Wchodzimy do domu pana Adamskiego, dziewięćdziesięcioletniego dżentelmena o ujmującej, dziecięcej twarzy. Uprzejmie wita się z nami, odbiera od nas kurtki i wiesza na wieszaku w przedpokoju. Z góry przeprosza za nieścisłości i luki w swoich wspomnieniach: „Pamięć już nie ta...”

Na ścianie wisi koloryzowane zdjęcie rodzinne. Widząc nasze zainteresowanie wyjaśnia: „To moi rodzice. Mama i Tata.” Obraz ojca zachował w pamięci, ale czy to rzeczywista postać, czy tylko projekcja wyobraźni, która wykreowała kogoś dającego poczucie bezpieczeństwa, tego nie wiemy. Kiedy jego ojciec – szewc z zawodu – zmarł, pan Kazimierz miał 4 i pół roku. Pozostała mu matka, która utrzymywała rodzinę z krawiectwa.

W czasie okupacji najbliżsi pana Kazimierza wraz z innymi rodzinami została wysiedlona z Raciąża. „W 1940 roku wywieźli nas do Krościenka nad Dunajcem. Moją dalszą rodzinę też wywieźli.” Mieszkańców miasteczka, którzy mieli opuścić Raciąż, zamknięto w miejscowym kościele. Po dniu spędzonym w świątyni załadowano ich do ciężarówek i wywieziono do obozu przejściowego w Działdowie¹. W 1940 r. miejsce to stało się obozem pracy wychowawczej, w którym zginęły tysiące ludzi. Wsiedleńcy pochodzili w większości z trzech powiatów: płockiego, ciechanowskiego i białostockiego. Część więźniów, m.in. rodzina pana

¹ KL Soldau – niemiecki-nazistowski obóz koncentracyjny funkcjonujący w latach 1939–1945.

Kazimierza, z Działdowa była wysłana do Generalnej Guberni, a część do innych obozów koncentracyjnych. Domy Raciążan zasiedlono rodzinami osadników niemieckich. Rodzinę pana Adamskiego i innych Raciążan przewieziono do Małopolski, nad Dunajec.

Pan Kazimierz podnosi opartą o parapet kulę, i podpierając się nią wstaje, przepraszając. Wspomnienia wyzwoliły emocje, których nie chce okazywać. W jego głosie wyczuwamy wzruszenie, które udziela się i nam. Wydaje nam się przez moment, że czujemy bagaż jego opowieści. Że pomieszczenie wypełnia wsparta na kulach dramatyczna przeszłość. Widzimy człowieka umęczonego życiem, ale też pełnego pogody i spokoju. Nie potrafiliśmy tego nazwać inaczej niż heroizmem. *Dla mnie najgorszym czasem był okres okupacji.* – mówi. – *Moja mama zajmowała się w Krościenku mną i bratem. Wróciliśmy do Raciąża dopiero w 1945 roku.*

W Krościenku odnalazł duchowe wsparcie. Pozostał mu obraz księdza, który troszczył się i opiekował dziećmi przesiedleńców, podtrzymywał je na duchu. „Ten ksiądz dawał mi Komunię. Opiekował się ministrantami. To był dobry człowiek”.

Niestety pan Kazimierz nie pamięta jak nazywał się duchowny, który pomógł przetrwać jego rodzinie¹.

Pan Kazimierz chodził do szkoły w Raciążu, w której ukończył pięć klas. W jego klasie było około 40 osób, w większości chłopców. Uczyli ich państwo Dublasiewiczowie i państwo Kucińscy. On sam lubił historię, geografę i matematykę. Ze szkoły pamięta też dzieci żydowskie, ale nie kolegował się z nimi. Dwie społeczności egzystowały razem w miasteczku, ale nie integrowały się. Kiedy przyszła wojna, szkołę zamknięto. Dzieci, zamiast się uczyć, chodziły zbierać kamienie na budowę dróg. Wszystko się zmieniło. Kiedy pan Kazimierz mówi o okupacji, podnosi głos. Wciąż powtarza, że „najgorsza była ta okupacja”. Trauma przerwane życie dominuje nad jego wspomnieniami i natarczywie powraca, nie dając spokoju i tkwiąc głęboko w jego duszy.

¹ Tym kapłanem był ksiądz kanonik Zdzisław Dzidek (1912–1993), wyświęcony 2 kwietnia 1944 r. przez kardynała Adama Stefana Sapiechę. W Krościenku przebywał od lat 30. z powodów zdrowotnych.

Ma wiele innych wspomnień, ale żadne nie wryło się tak dogłębnie, jak to – o odebranych dzieciństwie.

Przyszły również lata szczęśliwe: po wojnie pan Kazimierz był sklepowym, służył w wojsku, ożenił się i urodziły mu się dzieci. Porównuje też dawny Raciąż z dzisiejszym. „Od czasu okupacji Raciąż bardzo się zmienił, zabudowa miasta się zmieniła. Wcześniej na rynku rosły cztery lipy i stał dwuramienny krzyż. Teraz została tylko jedna lipa, reszta została zniszczona w czasie wojny”.

Koleżanka z sąsiedztwa

Aleksandra Włodarska, klasa II gimnazjum

– wywiad z panią Barbarą Kujawską z Ciecierska

Czy może Pani opowiedzieć, skąd pochodzi i jak trafiła

Pani do Ciecierska?

Urodziłam się w 1937 roku, pochodzę z Rybitw. W Cieciersku znalazłam się z powodu mojego zamążpójścia. Na początku wraz z mężem mieszkaliśmy w Żukowie, ale potem przenieśliśmy się do Ciecierska, gdzie zbudowaliśmy dla siebie dom.

Jakie jest Pani pierwsze wspomnienie z Raciąża?

Raciąż wspominam dobrze, chociażby dlatego, że poznałam tam miłość swojego życia. Ale z dzieciństwa nie pamiętam zbyt wiele. Były to bardzo ciężkie czasy, gdyż trwała II wojna światowa. Pamiętam jak dziś sytuację, kiedy za kościołem w Raciążu spadła bomba. Schowałam się wtedy z bratem pod stół. Byłam wówczas bardzo mała i ogromnie się bałam, że dom się zapali, gdyż był ze słomy. Słyszałam tylko gdakanie kur i wybuchy. Miałam dużo szczęścia, ponieważ jedna z bomb spadła tuż obok naszego domu i pozostawiła po sobie ogromną wyrwę.

Czym zajmowali się Pani rodzice ?

– Mój tatuś na początku zajmował się pracą u dziedzica Małanowskiego, a później – w czasie wojny – pracował u Niemców w gospodarstwie. Po wojnie zaczął pracę na swoim gospodarstwie, zaś mamusia zajmowała się domem. Dowiedziałam się potem, że ziemie pozostawione po Niemcach zostały rozparcelowane.

Co robiła wówczas młodziem w naszym wieku?

Bawiłam się szmacianymi lalkami i piłkami uszytymi przez jej moją mamę. To były moje zabawki. Miałam też wielu kolegów i koleżanki, ale pamiętam zaledwie kilku z nich.

W którym roku pani poszła do szkoły ?

Poszłam do szkoły dopiero 1946 roku, mając 9 lat, czyli dopiero po zakończeniu wojny. Do mojej klasy chodziło około 20 osób. Najbardziej zapamiętałam Ryśka Rosińskiego i Janinę Siecińską. Pamiętam też, że chodziłam do szkoły w Kondrajcu a następnie w Polesiu. Niestety nie zapamiętałam żadnego z moich nauczycieli. Dzieci w tamtych czasach uczyły się głównie matematyki i języka polskiego. Bardzo lubiłam polski.

Czy w miejscowości albo w okolicy mieszkali ludzie innej narodowości albo wyznania?

W naszej okolicy odkąd pamiętam mieszkali Niemcy. Miałam koleżankę Niemkę. Mieszkała bardzo blisko mnie, w tej samej wsi. Jej brat (było syn – nieścistość) przychodził do nas wieczorami grać w karty. Gdy wkroczyli Rosjanie zabili moją koleżankę, a zupełnie nie wiem, co stało się z jej bratem.

W głosie Pani Barbary można było usłyszeć ogromne wzruszenie, po jej policzkach popłynęły łzy.

W Kondrajcu znajdował się cmentarz, na którym ją pochowali.

Co się z panią działo po wojnie?

Pracowałam z rodzicami w rodzinnym gospodarstwie. Blisko nas mieszkał wujek mojego przyszłego męża, który nas zapoznał ze sobą. Miałam 23 lata, kiedy wyszłam za mąż. Wówczas zaczęłam wraz z mężem pracować na naszym własnym gospodarstwie.

Chcę powiedzieć, że czasy wojny i powojenne wspominam jak najgorzej. Pamiętam, że kiedy nastaly kartki na żywność jeździłam do Warszawy na zakupy, bo nic nie było w sklepach. Najlepiej żyje mi się dzisiaj. Wiele się zmieniło, od czasu, o którym opowiadam. Dawniej jeździło się wozami konnymi albo chodziło na pieszo. Dziś mamy samochody i żyjemy w dostatku.

Najlepszy czas

Paulina Kruszewska, klasa II gimnazjum

– wywiad z dziadkiem Janem Kujawskim

Możesz mi opowiedzieć, w którym roku się urodziłeś i jak pamiętasz swoje młode lata w Raciążu?

Urodziłem się w 1935 roku w Żukowie-Strusiach. Moja mama zajmowała się domem oraz mną i trójką mojego rodzeństwa, natomiast tata z zawodu był ogrodnikiem – żył z uprawiania warzyw.

Miałem zaledwie cztery lata, kiedy wybuchła wojna i to jej początek w Raciążku zapamiętałem najbardziej. Wybuchy bomb, strzały karabinów i ten strach, który towarzyszył mi każdego dnia, że coś złego może się przydarzyć.

Byłem wtedy z ojcem na targu w Raciążu. Nagle spostrzegłem na niebie duży samolot, który leciał bardzo nisko, a po chwili spadła bomba i wybuchła za Kościołem. Dorośli wpadli w panikę, a ja nie wiedziałem, co się dzieje. Ojciec chciał mnie ukryć pod mostkiem, ale ja się strasznie bałem. To wydarzenie zapamiętam chyba do końca życia. Pamiętam strach przed każdym dniem, głód. W tamtych czasach nie można było zabijać świniaka ani ukrywać Żydów. Doskonale pamiętam też, jak Rosjanie weszli do Polski i po kolei palili wszystkie wsie. Każdy myślał, że nam pomogą, a okazało się zupełnie inaczej. W czasie wojny musieliśmy zastaniać okna czarnym papierem, aby nie było widać ognia.

Przetrzywaliście Żydów?

Mój ojciec pomógł jednemu Żydowi, on jednak z nami nie rozmawiał, i prawie go nie widywałem, gdyż często wychodził na parę dni, a potem wracał. Ukrywaliśmy go wówczas w ziemiance.

Jak w latach twojego dzieciństwa spędzałeś wolny czas?

W tamtych czasach zbieraliśmy się całymi grupami i najczęściej graliśmy w berka, ciuciubabkę i klasy. Bardzo lubiłem też, gdy starsi

ludzie opowiadali ciekawe historie, bajki.

W roku 1945 poszedłem do szkoły. Miałem wówczas 10 lat. Do naszej klasy chodzili uczniowie w różnym wieku. Było nas około dwudziestu. Mimo upływu lat wciąż pamiętam ich twarze, imiona i nazwiska. W szkole nie było niemal żadnego wyposażenia. Ławki szkolne musieliśmy robić sobie sami.

A czy mieliście przybory szkolne?

To zależy, np. niektórzy mieli zeszyty, ale przeważnie pisało się na tym, co się akurat miało. Nie mieliśmy długopisów, pisaliśmy piórami ze stalówką, zanurzaną w atramencie, który stał w kałamarzu na ławce. W szkole, o ile dobrze pamiętam, nauczano języka polskiego, matematyki i plastyki. Z nich lubiłem przede wszystkim matematykę, ale to nauczyciela polskiego zapamiętałem najbardziej. Nazywał się Czeplik. Utkwił mi w pamięci, ponieważ był porywczy i często stosował wobec nas przemoc cielesną.

Czym zajmowałeś się w późniejszym życiu?

Zajmowałem się ogrodnictwem, tak jak mój ojciec, a teraz mój syn.

Pamiętasz swoją pierwszą miłość?

Moją pierwszą miłością była Barbara Lis. Zakochałem się w niej mając 8 lat i kochałem ponad wszystko. Pamiętam też, jak poznałem babcię. To była jesień, a poznał nas ze sobą mój sąsiad. Już na Wielkanoc odbył się nasz ślub.

Jakie czasy wspominasz najlepiej, a jakie najgorzej?

Najgorzej było po wojnie: brakowało jedzenia, a wiele rodzin potraciło swoich bliskich. A z drugiej strony ludzie potrafili się cieszyć z prostych rzeczy. Od tego czasu minęło wiele lat i Raciąż stanowczo zmienił się na lepsze. Kiedyś mieszkało się w małych, ciasnych, słomianych domach szerokich i długich na zaledwie 3 metry. Dzisiaj każdy może mieszkać w ogromnych piętrowych budynkach. Uważam, że dzisiejsze czasy są najlepsze – nie ma wojny i człowiek nie musi martwić się o jutro.

Szkoła w moim domu

Piotr Ambrochowicz, klasa III gimnazjum

– wywiad z dziadkiem Edwardem Sadowskim

Kiedy się urodziłeś?

Urodziłem się w grudniu 1922 r., w dokumentach jednak zapisano jednak styczeń 1923 r. Kiedyś, szczególnie na wsiach, nie przywiązywano dużej wagi do dokładności rejestru urodzenia. Dlatego do dziś jest w moich dokumentach taka rozbieżność. Ja sam urodziłem się na wsi w Kinikach, ale moje starsze siostry urodziły się w Ameryce. Nasi rodzice bowiem wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych przed wojną, a wrócili dopiero po 10 latach, po rewolucji bolszewickiej.

Jak spędziłeś swoje dzieciństwo?

Kiedy byłem dzieckiem życie wyglądało zupełnie inaczej. Na wsi wszyscy ciężko pracowali, żeby rodziny miały co jeść. Nawet małe dzieci musiały pracować, pomagając starszym w różnych prostszych pracach. Dzisiaj wynajmuje się kombajn na jeden dzień, a wieczorem hektary buraków są już zebrane. Wcześniej było to nie do pomyślenia. Kilka pokoleń wstecz nasza rodzina miała dość dużo ziemi na Kinikach, jednak ubywało jej na rzecz innych. Każdy potrzebował jej, aby wykarmić swoje własne rodziny. Poza tym, samemu nie dało rady obrobić dużej ilości ziemi. Kiedy zaczynały się żniwa, wszystkie rodziny pomagały sobie nawzajem, pracując na cudzych polach, żeby zebrać to, co było do zebrania. Pracowałem jak wszyscy inni. W wieku 9 lat straciłem trzy palce prawej ręki, co utrudniało mi niektóre czynności.

Kiedy poszedłeś do szkoły?

Naukę zacząłem w wieku 7 lat. Dwa lata uczyłem się w Raciążu, a później, kiedy rodzina kupiła w Krajkowie dom dla mojej siostry, przeniosłem się do niej. W tym domu miałem klasę, było więc po prostu wygodniej.

Jak to klasa w domu?

Wtedy nie było osobnego budynku szkolnego, tylko wynajmowało się pomieszczenia pod klasę. U siostry połowa domu była szkołą. Klasy były też u sąsiadów: Wiatka, Pająka. Gmina płaciła za wynajem mieszkań, darmo nie dawali. Kiedy poszedłem do trzeciej klasy, to szkoła była właśnie u nas. Kiedy przed ósmą do domu przychodziły pierwsze dzieci, ja jeszcze spałem. Wstawałem dopiero za dziesięć ósma czy nawet później, bo przecież szkołę miałem w sąsiednim pokoju.

Czy wtedy, kiedy się uczyłeś, była podstawówka i liceum?

Nie, była jedynie podstawówka. Przed wojną liceum w Raciążu nie było. Tylko siedem klas podstawówki. Teraz i w Strzegowie jest liceum, i w Drobinie, nawet w Raciążu – a kiedyś w ogóle nie było.

Skoro tak wyglądało szkolnictwo, to skąd brali się nauczyciele i gdzie mieszkali?

Nauczyciele mieszkali u ludzi, którzy wynajmowali klasy. Oczywiście płacili normalnie za mieszkanie. Jeden z uczących mnie nauczycieli, Dzikowski, mieszkał u mnie.

Jakie przedmioty były wtedy nauczane?

Takie same jak teraz: biologia, matematyka, historia, geografia, polski, rysunki, rachunki. Oczywiście każdy nauczyciel był od czegoś innego. Jeden nauczał rysunku, drugi polskiego. Mieli rozpiski, kiedy i jakie lekcje prowadzą, nic się w tym względzie nie zmieniło.

Czy w naszym mieście byli Żydzi? I czy znałeś kogoś osobiście?

Oczywiście, że znałem, chodziłem z nimi do klasy. W mieście i okolicach było ich około dwóch tysięcy, co stanowiło połowę ludności, miałem więc z nimi stały kontakt. Część była moimi znajomymi ze szkoły. Żydzi nie mogli mieć własnej ziemi, więc zajmowali się głównie handlem i rzemiosłem. Na naszym rynku większość kamienic była żydowska. Nawet teraz ratusz, który stoi, znajduje się w dawnym żydowskim domu, tylko piętra dobudowali, bo to był parterowy gmach. Większości się powodziło. Zapamiętałem, jak mówili: „wasze ulice, nasze kamienice”, choć nie wszyscy mieli tak

dobrze. Wszyscy szewce, kowale oraz sklepiki były raczej żydowskie. Jeden z młynów też był ich, wozilem tam zboże na mąkę – ten na Zawodzie. Jego właściciel nazywał się Knajster. Sprzedawałem im również zboże.

Czy w naszej okolicy była świątynia innego wyznania, kaplica albo cmentarz?

Była i nadal jest synagoga żydowska. To ten czerwony budynek przy poczcie. Za moich młodych lat mówili na to bożnica. Wtedy była jeszcze z drewna, ale – jak to drewniane budynki – spaliła się i postawili nową, murowaną. Podobno podczas pożaru nocował w niej jakiś biedniejszy Żyd i się spalił. Uprzątnęli pogorzelnisko i postawili murowaną, już za moich czasów, i stoi do dziś. W czasie komunizmu, kiedy już nie było Żydów, zrobili z niej liceum ekonomiczne, dobudowali tylko kilka budynków. Jego dyrektor był moim znajomym, nazywał się Szelański. Pracowało w nim jako nauczyciele dwoje moich dzieci. Teraz stoi obdarte, bo liceum zamknięte na rzecz nowego, a nikt tego kupić nie chce. Pozabijali więc okna deskami i niszczeje.

Był także kirkut żydowski, znajdujący się teraz za wysypiskiem śmieci przy lesie, ok 2 km na północ od synagogi. Obecnie, jak wiele innych kirkutów, zapomniany i zniszczony, nawet nie wiem czy coś z niego jeszcze zostało. Podzielił los cmentarza cholerycznego¹, znajdującego się tuż obok, który obecnie przysypuje śmietnisko.

Jakie czasy wspominasz najgorzej, a jakie najlepiej?

Wszystkie czasy były ciężkie – praca na roli to nie przelewki. Człowiek musiał się dużo napracować. Codziennie wstać o piątej, wydoić krowy, nakarmić zwierzęta. Dopiero wtedy można było zjeść śniadanie, a zaraz potem wychodziło się w pole i pracowało do zmierzchu. Dużo pracy było przy burakach i żniwach. Najmniej robiło się w zimę, ale i wtedy znajdowało się zajęcia. I – przede wszystkim – kiedyś nie było prawie maszyn. Wszystkie prace wykonywało się ręcznie,

lub pomagając sobie końmi. Nie było oprysków, pielito się ręcznie, tak samo podczas zbiorów. Konie pomagały przy orce i bronowaniu oraz przewozie zbiorów.

Jakie wydarzenie z dzieciństwa i młodości utkwiło w twojej pamięci najbardziej?

Jednym z takich wspomnień jest historia związana z rowerem. Otóż podczas wojny ukryliśmy się przed Niemcami w Sarzynie. Było to na początku wojny. Wszyscy wtedy uciekali, byle dalej od granicy. Po kilku dniach od naszej ucieczki wróciłem rowerem do Kinik zobaczyć, czy wszystko w porządku z gospodarstwem. Jednak kiedy jechałem z powrotem, trafiłem na oddział Armii Krajowej¹, która zarekwirowała mi rower, przez co musiałem wrócić pieszo. Do dziś pamiętam tę sytuację.

Jak wspominasz czas wojny?

Dawali nam dodatkową pracę. Pamiętam, że kiedy budowali szosę przez Sierpc do Torunia, teraz to jest droga nr 10, kazano nam zawozić kamienie. Droga pod Toruń zabierała nam dwa dni. Strasznie dawało się nam to we znaki, tak samo koniom, które były wymęczone bo droga była długa, a wozy ciężkie – jeszcze z żelaznymi kołami i dodatkowo ze stertą kamieni, którą wieźliśmy. Zimy podczas wojny były bardzo mroźne. Specjalnie ładowało się tylko trochę, aby łatwiej się jechało. Pamiętam, że jeśli ktoś miał parkan z kamieni, to rozbierano go, a materiał kazano zawozić na budowę tej drogi. Nasz murek również rozebrano. Jednak było też dla nas trochę uciechy. We wsi Łaszewo mieścił się niemiecki cmentarz. Nieduży, ale obłożony brukiem. Nie wiem jak to się stało, ale wystano skierowanie do rozbiórki także tego muru. Jednak Niemcy, których w tych okolicach było sporo, nie pozwalali na to. Był wtedy taki Szczepny, Polak. Jakoś wpełznął się do niemieckiej administracji i został podkomisarzem. I pyta się nas: „Nie dają?”. Na to my: „No nie dają.”.

¹ Miejsce pochówku ofiar epidemii cholery.

¹ Prawdopodobnie chodzi o jakiś oddział wojska polskiego. Armia Krajowa powstała w roku 1942 (przyp. red.).

Miało to miejsce podczas zimy, więc wsiadł w sanki i pojechał do komisarza w gminie. Opowiedział mu o wszystkim, a ten mu dał papierek. Przyjechał po tym do Łaszewa, przeczytał nam kartkę i mówi: „Rozbierać”. Niemcy zaczęli się opierać, na to Szczepny wziął paru z nich i – jak to podczas wojny, kiedy prawo nie miało dużego znaczenia – przykładnie ich pobił. Reszta się opanowała, a bruk rozebrali. Wszyscy w wiosce mieli z tego powodu satysfakcję, że nie tylko Polakom się obrywa. Do dziś się zastanawiam, jak to się stało, że wydano takie zarządzenie.

Jak wyglądała sytuacja Żydów w naszym mieście podczas II wojny światowej?

W listopadzie 1939 r. zebrano wszystkich Żydów, załadowano do pociągu i wywieziono z miasta. Pamiętam, że zarządzono, aby przy odjeździe grała polska orkiestra. Za rozkazem komisarza ściągnięto wszystkich grajków, jacy byli w okolicy. Wiedzieli o nich, bo w okolicach mieszkało dużo Niemców, którzy ich wskazali. Żydzi byli pakowani do pociągu, a orkiestra grała. Pozostawione po nich budynki albo stały puste, albo – jeśli nie nadawały się do użytku, bo były stare, wyburzano. W miejscu, gdzie teraz są bloki na rynku od strony ulicy Warszawskiej, stały domy żydowskie – zburzyli je wszystkie. Pamiętam, że Niemcy wykorzystywali płyty nagrobne z kirkutu jako materiał do chodników. Wykładali je nimi jak zwykłymi płytami betonowymi.

Dziękuję ci bardzo za czas i za opowieść.

To ja dziękuję za uwagę.

Cień wojny

Karolina Trzcicka, klasa II gimnazjum

– wywiad z panem Jerzym Jaworskim

W którym roku się Pan urodził?

Urodziłem się w Wilnie w roku 1929. Jednak spędziłem tam tylko 10 lat swojego życia.

W jakich okolicznościach trafił Pan do Raciąża?

W 1939 roku przyjechałem do miejscowości Zagroba w powiecie płockim. W tej miejscowości pozostałem do końca wojny, czyli do maja 1945 roku. Pod koniec lata 1939 r. miałem wracać do Wilna, ale niestety nie mogłem i już nie wróciłem. W Wilnie zostali moi rodzice. Tutaj miałem przyjechać tylko na wakacje. Akurat skończył się rok szkolny i moje wakacje zaczęły się bardzo interesująco. Mój brat jechał w te strony końmi i to była dla mnie wielka przygoda, że mogłem sobie pojechać konno, a nie jak prawie każdy dzieciak pociągiem.

Jakie są Pana pierwsze wspomnienia z naszej miejscowości?

Moje dzieciństwo nie było łatwe, gdyż byłem w innym miejscu, z dala od domu i rodziny. Przyjechałem tu jako dziesięcioletni chłopak tuż przed wojną. To, co pamiętam z tego okresu nie jest zbyt kolorowe. Oczywiście były chwile, które wspominam dobrze, ale w przeważającej części mam złe wspomnienia. Gdy w 1939 r. przyjechałem tu na wakacje, już w sierpniu zaczęło się bardzo głośno mówić o tym, że chyba wybuchnie wojna. 28 sierpnia była mobilizacja w Płocku. Pobrali do wojska mnóstwo ludzi, ale nawet nie zdążono ich umundurować i włączyć do poszczególnych oddziałów. 1 września o świcie, już samoloty nadleciały nad nasze terytorium i zaczęły bombardować. Pierwsza walka na naszych terenach miała miejsce pod Chełmżą. Walczyła tam nasza 20 dywizja piechoty, która stacjonowała w Płocku, którą Niemcy zaatakowali

dziewięcioma dywizjami. 4 września nasza armia zaczęła się wycofywać w rozproszeniu wciąż atakowana przez lotnictwo niemieckie. W tej Zagrobie, gdzie byłem pod okupacją, Niemcy zabijali z samolotów ludzi, którzy pracowali na polach.

Czym zajmowali się Pana rodzice?

Matka była nauczycielką, dlatego jeszcze przed wojną uczyłem się jednocześnie nie uczęszczając do szkoły. To było wówczas, gdy byłem jeszcze z rodziną. Podczas wojny szkoły nie były dostępne dla polskich dzieci, ale ja dzięki matce wiele wiedziałem i po wojnie mogłem iść do gimnazjum w Płocku. Mój ojciec, który był wojskowym w stopniu porucznika, również był wykształconym człowiekiem.

Co robiła wówczas młodzież w naszym wieku w czasie wolnym?

W co się bawiła?

W latach wojennych młodzież nie mogła uczęszczać do szkoły. Była wykorzystywana do pielenia ogródków, wykopywania ziemniaków. Czasem już 10-11 latki zabierano na tak zwane przymusowe roboty do Niemiec.

W którym roku poszedł Pan do szkoły?

Do szkoły mogłem pójść dopiero w 1945 roku. Zdałem wówczas do szkoły gimnazjalnej w Płocku. Mieszkałem tam w internacie. Dzieci w mojej klasie było dużo. Pamiętam swoje koleżanki i kolegów: Danusie Ossowską, Malinę – której nazwiska już nie pamiętam, Zygmunta Prażmowskiego, Zygmunta Kowalskiego i wielu innych. Nie wiem, co się stało z moimi koleżankami, natomiast koledzy, których wymieniłem, już dawno nie żyją

Jakie przedmioty były wtedy nauczane? Które z nich były Pana ulubionymi?

Przedmioty były te same, co współcześnie. Moim ulubionym przedmiotem była historia – zawsze ją lubiłem i lubię do tej pory. Lubiałem także język polski. Matematyką nigdy nie byłem dobrym, ale dawałem sobie radę. Zapamiętałem moje nauczycielki od języka polskiego: Panię Jadwigę Orzychowską oraz Panią Mariańską. Bardzo wymagające, ale można powiedzieć, że nauczycielki z prawdziwego

powołania. Umiąły wbić wiedzę do głowy, ponieważ gdy uczeń wyszedł ze szkoły, pamiętał wszystko.

Szkoły dawne od dzisiejszych różnie przede wszystkim nazewnictwo – w tamtych czasach szkoła podstawowa nazywana była szkołą powszechną. Po szkole powszechnej było gimnazjum, a później liceum. Po ukończeniu liceum dostawało się maturę.

Czy w miejscowości albo w okolicy mieszkali ludzie innej narodowości lub innego wyznania?

Po wojnie mało spotykałem takich ludzi, ale przed wojną jako dziecko spotykałem Żydów. Byli też u nas Niemcy.

Jakie czasy wspomina pan najlepiej a jakie najgorzej?

Najgorzej wspominał czas wojny, kiedy to oddzielono mnie od rodziny i wykorzystywano do pracy. Patrzenie na ludzi, którzy ginęli obok mnie. Nie życzę nikomu, żeby spotkała go taka krzywda. Zaś najlepiej pamiętam już czasy powojenne oraz te, w których poznałem moją małżonkę i odnowiłem znajomości z dawnymi kolegami.

Jak od czasów Pana dzieciństwa zmieniła się nasza miejscowość?

Przyjechałem tu jako dorosły człowiek, ale od tego czasu wiele się tu zmieniło. Nie było dróg i gdy szedłem musiałem skakać pomiędzy kałużami, gdyż obok płynęła rzeka Rokitnica, która wylewała na łąki i na drogę. Szkoła w Gralewie nie była ani trochę podobna do obecnej. Wówczas był to stary drewniany budynek, który ani troszkę nie przypominał budynku szkolnego.

Wiersz pt.: Wspomnienia Jerzego Jaworskiego

*W dwudziestych latach się rodziłem,
Jeszcze w trzydziestych dzieckiem byłem.
Wojna dorosłym mnie czyniła.
Z płótna mi plecak matka szyła.
Kraj ogniem płonął i wiał grozą.
I nie z poezją, ani z prozą –
Weszło mi osiemnaście lat.*

Mierzyłem drogi w różne strony-
Przez polne miedze i zgony,
By pod osłonę ciemnej nocy
Umknąć niemieckiej wrogiej mocy.
Ból jakiś serce me przesywał,
A gniótł ramiona ciężar życia.
Nikt nie wie cóżem ja przeżywał,
Szukając bezpiecznego skrycia.
Kryć się musieli wszyscy ludzie-
Gdzieś w szczerym polu, w dołach ziemnych –
Niemcy na ludzi polowali, a traktowali –
Jak zwierzęta i pod frontowym.
Nad głowę rwały się pociski.
wzrok zalewały strzałów błyski,
Ziemia jęczała w swych posiadach.
Lasy się kładły w palisadach.
Strzaskane kolców drzewnych ćwierci
Leżą, gdzie przeszedł „anioł śmierci”.
Armatni ogień z nieba spada,
Wszystko zagłusza kanonada.
Katusze strumień ognia leją,
Z gniazd kulomioty-kule sieją.
Kto przeżył piekło tu na ziemi –
Obok zabitych i z rannymi-
Bólu, a cierpień zna nie mało,
wszystko we wspomnieniach pozostało.

Trzęśtam się ze strachu

Zuzanna Wąsiewska i Aleksandra Derbin, klasa II gimnazjum
– wywiad z Teresą Gorczycą

Ile miałaś lat, kiedy zaczęła się wojna?

Urodziłam się w 1927 roku, więc gdy zaczęła się wojna, miałam 12 lat.

Jak wyglądały pierwsze dni wojny? Czy wszystko zmieniło się nagle?

Kiedy ludzie się o tym dowiedzieli, wszystkich ogarnął strach. Zaczęły się bombardowania, ludzie chowali się, gdzie tylko mogli. Uciekaliśmy w redliny ziemniaków i chowaliśmy się w piwnicach. Ludziom towarzyszyła ogromna niepewność, nikt nie wiedział, gdzie spadnie kolejna bomba, kiedy znowu nadjadą Niemcy. Pamiętam, że bardzo się bałam, bardzo często wręcz trzęśtam się ze strachu i modliłam się o to, aby wszystko szybko się skończyło.

Czym zajmowali się twoi rodzice?

Pracowali głównie w gospodarstwie. Chociaż, kiedy byłam malutka mój tatuś wyjechał do pracy, do Francji. Przywiózł mi stamtąd rower, co było ogromną sensacją na wsi, ponieważ w tamtych czasach nikt jeszcze nie miał takich rzeczy. Pamiętam też, że za pieniądze tam zarobione kupił 4 morgi ziemi.

Czy podczas wojny ich sytuacja uległa zmianie?

Nadal zajmowali się gospodarstwem. Czasem łapali jakieś dodatkowe zarobki. Na szczęście mojego taty nie wzięli do wojska, ponieważ tatuś miał rodzinę, dzieci, a na dodatek mamusia była chora. Szczerze mówiąc, nie słyszałam też o tym, aby ktoś z mojej okolicy musiał iść do wojska.

Czy pamiętasz może jakąś historię związaną z najazdem Niemców na okolicę, w której mieszkałaś?

Wielu historii nie pamiętam, ale jedna zapadła mi w pamięci. Pewnego dnia w naszej okolicy pojawili się Niemcy. Kiedy się o tym dowiedzieliśmy, zaczęliśmy szukać miejsca, aby się ukryć. Ja uciekłam

na strych i schowałam się za kominem, aż w pewnym momencie wszedł tam Niemiec, krzyżąc coś w swoim języku. Trzęsąc się ze strachu, modliłam się, aby mnie nie znalazł. W końcu zrezygnował i zszedł na dół, a ja mogłam odetchnąć z ulgą.

Skąd zdobywaliście żywność?

Piekliliśmy chleb. Tatuś miał młynek, w którym mielił zboże i od-siewał mąkę. Resztę nienadającą się do pieczenia przeznaczano na hodowlę świń.

Czy w twojej okolicy mieszkali Żydzi?

Tak, nawet jeden u nas był i za mamusię szył, bo ona była schoro-wana i nie mogła, ale on również się ukrywał. Niemcy dla Żydów byli bardzo źli, a oni musieli przecież z czegoś żyć, dlatego ten ukrywający się szył u nas. Raz pewien Niemiec pobił nawet moją mamę, aż jej krew leciała. To było wtedy, kiedy przyszli po mojego stryja. Nawet mnie uderzyli ze dwa razy.

Czy według ciebie zasługą było to, że pomagało się Żydom?

W tej chwili mówi się, że to jest zasługa, ale kiedyś była za to surowa kara.

Czy podczas wojny uczęszczałaś do normalnej szkoły czy było tajne nauczanie?

Było tajne nauczanie, a nauczyciele musieli się ukrywać. Lekcje odbywały się w domu, który wynajęła pewna rodzina. Wyglądały podobnie, jak dziś nauczycielka tłumaczyła nowe rzeczy, później byliśmy pytani, a czasami zdarzały się klasówki. Uczyliśmy się polskiego, rachunków, czyli tego co i teraz.

Z czego szło ci najlepiej?

Ze wszystkiego szło mi dobrze, radziłam sobie ze wszystkim. Jeśli chodzi o ulubiony przedmiot, raczej nie miałam jednego, lubiłam je wszystkie. Chodziliśmy do szkoły pięć razy w tygodniu. Niestety, minęło tyle lat, że z nie pamiętam nazwisk nauczycieli. W mojej szkole była jedna nauczycielka, wspominam ją niezwykle dobrze. Była bardzo miła i pomocna.

Jak i gdzie poznałaś swojego męża?

Poznaliśmy się przez rodzinę. On mieszkał w tej samej wsi, gdzie moja ciocia, którą często odwiedzałam. Pewnego dnia, spotkałam go spacerując w okolicy jej domu, zaczęliśmy rozmawiać, a później coraz częściej się spotykać.

Czy w tamtych czasach było coś takiego jak randki?

Przez to, że czasy były jeszcze niespokojne, spotykaliśmy się tylko w naszych domach.

Po jakim czasie wzięliście ślub?

Jakoś po roku znajomości, miałam wtedy 24 lata. Nasz ślub odbył się w kościele, po czym udaliśmy się do moich sąsiadów, którzy wynajęli nam swoje mieszkanie, aby tam odbyła się potańcówka. Było niezwykle wesoło, wszyscy tańczyli, a orkiestra ładnie grała. Bardzo dobrze wspominam ten dzień.

Świat krochmalu i radości

Natalia Wiktoria Dębowska, klasa III gimnazjum
– opowieść pani Ewy Kaźmirkiewicz

Umówiłam się z nią na spotkanie się w listopadowe popołudnie. Zmierzchało, ale było jeszcze dość widno. Umówiona byłam na 16.00, ale pani Ewa już od godziny czekała na nasze spotkanie. W jej świecie szacunek dla drugiego człowieka, punktualność i słowo to rzeczy święte. Ja żyję w świecie telefonów komórkowych, w którym w każdej chwili można wysłać krótką informację o późniejszym przyjściu albo o tym, że niestety coś mi wypadło i nie będzie mnie na spotkaniu i o tysiącu wymówkach usprawiedliwiających moje „nie chce mi się”. Za chwilę miałam wkroczyć w ten inny świat, spieszyłam się więc i zdyszana dotarłam na czas pod wskazany adres.

W drzwiach powitał mnie ciepły uśmiech rozmówczyni i zapach świeżo zrobionego prania, który pamiętam z bardzo wczesnego dzieciństwa.

Pani Ewa Kaźmirkiewicz urodziła się w 1934 roku. Lata przedwojenne wspomina z rozczuleniem: – „Dla mojej rodziny to były dobre czasy. Tata miał rentę wojskową, a mama nigdzie nie pracowała, zajmowała się nami i domem. Miałam wtedy tylko pięć lat, ale dużo pamiętam.” Przede wszystkim to, że czuła się wtedy bezpiecznie. Ojciec, były wojskowy zapewniał jej byt, był gwarantem dziecięcej bez troski.

Z tego okresu Pani Ewa pamięta również sklepy żydowskie, zwłaszcza ten pod numerem siedemnastym na ulicy Warszawskiej. Lubiła chodzić do tego sklepu ponieważ znajdował się w pobliżu jej domu. Wspomina, że zamieszkujące przed wojną Raciąż dwie społeczności religijne nie integrowały się ze sobą. Żydzi mieli swoją synagogę i szkołę, a katolicy własne.

W czasie okupacji ojciec Pani Ewy pracował u Niemców. Pani Ewa nie wie jaka to była praca:

– „Niemcy poważali tego, kto był pracowity, kto lubił pracować”. Twarz Pani Ewy odtwarzającej wspomnienia czasu wojny spoważniała. Jej matkę Niemcy aresztowali i osadzili w obozie w Płocku. – „Mama była w obozie niemieckim, tata był chory, a najstarsza siostra była zabrana do Prus Wschodnich. Zostałam sama, bez obojga rodziców. Byłam najstarsza, a jeszcze po mnie było troje młodszych. Ten czas był dla mnie najgorszy”. Ojciec zmarł w 1944 roku, a mama wróciła dopiero pod koniec wojny. Nie zadaję więcej pytań. Jej oczy zdradzają duże wzruszenie, a sama dodaje cicho: – „Sama byłam dzieckiem, a musiałam zajmować się innymi dziećmi”.

Czas powojenny również była dla rodziny pani Ewy trudny. Brak ojca odcisnął na jej całym dzieciństwie bolesne piętno: – „Mama była sama, a nas pięcioro. Ja nie wspominam tego dobrze”.

Po wojnie poszła do szkoły. – „Klasa była duża. Czy ktoś miał siedem lat, czy dziesięć, czy czternaście, wszyscy chodzili do pierwszej klasy. To wszystko były dzieci polskie. Uczyliśmy się języka polskiego, była matematyka, religia, biologia, geografia, śpiew i rysunki. Religii z początku uczyła Pani Wirkusowa z Warszawskiej ulicy. Pamiętam też nauczyciela Bobińskiego, naszą wychowawczynią była Pani Królikowska, uczyła nas rosyjskiego, był Pan Żochowski, który uczył nas matematyki i śpiewu, oraz Pan Chorzewski od biologii. Wszystkie przedmioty lubiłam, ale trochę bardziej biologię i geografię. Lubiłam strasznie rysować, jak trzeba było przerysować mapę z książki, to ją przerysowałam z detalami. Pani Królikowska była bardzo dobra, była taka delikatna. Pan Żochowski nie miał nogi, on był taki bardziej ostry, ale nie było nauczycieli, których można było nie lubić. Mi się wydaje, że wszystkie dzieci lubiły wszystkich nauczycieli.” Na wspomnienie o szkole Pani Ewa uśmiecha się. Jej rysy twarzy łagodnieją, przybierając kształt sprzed wspomnień o wojnie.

Jako już zamężna i dojrzała kobieta pracowała w izbie porodowej. Zdradza, że bardzo lubiła swoją pracę i że lubi dzieci: – „Wszystkie dzieci są dla mnie ładne i wszystkie dzieci są dla mnie dobre i wszystkie dzieci kocham”. Urodzenie swojego pierwszego dziecka i ślub wymienia jako najważniejsze wydarzenia w swoim życiu. Z czułością wypowiada

się o swoich dzieciach, wnukach i prawnukach. Jej ręce wypiastowały niejedno dziecko w rodzinie, która jest dla niej najważniejsza.

Pani Ewa czuje się przypisana do Raciąża. Tu się urodziła, tu wyszła za męża, tu urodziły się jej dzieci. Pamięta większość zmian, jakie dokonały się w Raciążu. – „Dużo się zmieniło, Raciąż zrobił się większy, powstało dużo budynków. Przed wojną i po wojnie przeważnie stały tu budynki drewniane, nie było murowanych. Teraz to stoją budynki murowane, i piętrowe i dwupiętrowe.”

Na ulicy Płockiej, jak wspomina, była przychodnia zdrowia, tam przyjmował doktor Hankiewicz i doktor Waszkowski. To była przychodnia powojenna. Przed wojną przyjmował u siebie pacjentów na ulicy Wolności doktor Zieliński, który został aresztowany przez Niemców i zmarł w obozie w Auschwitz. Dużym szacunkiem mieszkańców cieszył się proboszcz ksiądz Poszwa i związany z Raciążem powojenny minister zdrowia Rajmund Barański.

– „W późniejszym czasie powstawały sklepy, nie od razu po wojnie, ale z czasem.” Był w Raciążu pawilon odzieżowy, sklep rybny, sklepy masarskie, z drobiem, meblarski, sklepy z materiałami. Jedne sklepy likwidowano, powstawały następne.

W życiu mieszkańców ważną rolę zawsze odgrywały pompki miejskie. Sobotnie pranie było celebrą, o której dziś już niewiele pamięta, a nikt nie rozumie. Kobiety nosiły wodę i prały od rana. – „Najpierw była to pompka naprzeciwko sklepu Pana Marszała i ona dziś jeszcze jest. Na Warszawskiej ulicy przy Przechodniej na rogu była druga pompka, i przy starej poczcie przy ulicy Kilińskiego też była pompka. Pompki były na rogu przy sklepie Pani Arceuszowej przy drewniak, przy ulicy Mławskiej, gdzie dziś jest pusty plac, ale jeszcze niedawno stał tam drewniak. Pompka była też na końcu ulicy Warszawskiej.” Wyprane i wysuszone pranie noszono do magła. Magli w Raciążu było kilka. W czasach socjalizmu były to prywatne inicjatywy gospodarcze. Opłata za usługę uzależniona była od sprytu i umiejętności klienta. – „To były ręczne magle. Płaciło się od wałka. Były takie dwa wałki, koło i korba. Pranie nawijało się na wałki, jak ktoś potrafił nawijać, płacił mniej. Można

było zapłacić za pięć wałków, a można było za trzy. Podkładało się pranie pod takie kamienie, kręciło się korbą, magiel się cofał, pranie się maglowało, a drugi wałek czekał już nawinięty. Przeważnie tylko środek się dobrze zmaglował, to trzeba było to, co było na brzegach przetożyć do środka, a to co w środku na brzegi. Ale jak wyszła taka pościel ukrochmalona i wymaglowana, to jak się ubrało pościel... to Lalcia spałaś jak królowa! Dzisiaj jak pościel się powlecze, a jutro się prześpi, to pojutrze jest brudne. A wykrochmalone i wymaglowane się świeci, a jak pachnie taka pościel! Zaraz po wojnie używano się desek z zębami, też takie długie stołki były, na wałek się pranie nawijało i przesuwano po tej desce. Wymaglowało się też, ale to już trzeba było pojedynczo maglować.

Później były również magle elektryczne, a dzisiaj nie ma żadnego. Dzisiaj magiel niepotrzebny, ale ja do dzisiaj krochmalę i prasuję.” Przypomniałam sobie wówczas zapach, który czułam wchodząc do mieszkania pani Ewy. Zapach prasowanego i krochmalonego prania, zapach innego świata. Gospodyni otworzyła szafkę i z dumą w oku pokazała mi wykrochmaloną i wyprasowaną pościel, ułożoną równiutko na półkach. Pod linijkę – jakby powiedziała moja mama. Ze wstydem pomyślałam o moich porzrzucanych książkach i ubraniach w szafie.

Po pracy mieszkańcy Raciąża spędzali czas razem. Pani Ewa ze śmiechem wspomina: – „Oj, jak w Raciążu wesoło było! Tego Raciąża już nie ma. Zielone Świątki trwały dwa dni. Była niedziela i poniedziałek wolne. Nie tak jak teraz, kiedy nawet się nie wie, kiedy są Zielone Świątki. Ludzie z lasu poprzynosili brzeziny, poucinali tataraku. Jak się szło do kościoła, to już budynki były poubierane na zewnątrz. W drugi dzień Zielonych Świątek orkiestra raciąska szła przez całą ulicę Mławską, grała muzyka, jedne za drugim jechały wozy, a na wozach pełno ludzi z koszykami z jedzeniem i piciem. Na brzegu lasu na polanie orkiestra się rozpostarła, ludzie posiadali, koce porozścielali, wozy z końmi stały. Tam było jedzenie, picie, orkiestra grała, taniec był, Raciąż aż rósł do góry! Było bardzo wesoło. Teraz jest bardzo smutno. Kiedyś jedni do drugich przychodzili. Do mojej mamy przychodziły koleżanki, do mnie – już

po wojnie – też przychodziły koleżanki. Jako podlotki graliśmy w różne fanty. Coś się mówiło, prowadzący zadawał jakieś zadanie za zabranej fant: a to żeby gdzieś iść, a to żeby coś zaśpiewać. W klasy graliśmy też i w skakankę. Wesoło było. Starsi sobie siadali i opowiadali historie. Nikt nie robił jakichś wielkich przyjęć, ale ludzie byli bardzo życzliwi ze sobą, rozmawiali. Ludzie piekli placki wielkie na dwie duże blachy, tak że nóż nie objął. Nakroili placka, zrobili kawy prawdziwej zbożowej, posiedzieli, porozmawiali, było bardzo wesoło. A już jak przyszła Wielkanoc chłopaki polewali dziewczyny wodą z butelek. Jednego roku założyłam kretonową sukienkę, byłam cała mokra. Zdjęłam sukienkę i powiesiłam ją na sznurku – za godzinę była sucha. Nikt na nikogo za takie żarty się nie gniewał. Jeden za drugim by poszedł w ogień. Teraz mają te pudła, w te pudła patrzą, nikt do nikogo nie przychodzi. Teraz nie ma ludzi żyjących.”

Głos mojej rozmówczyni posmutniał. Żal za minionym czasem i bliskością drugiego człowieka wypełniły pokój. – „Kiedyś ludzie mieli kontakt ze sobą. Obcy ludzie się ze sobą spotykali, a teraz jeden drugiemu zazdrości, tylko pieniądź się liczy.... Każdy mówi: nie mam czasu, jeden z drugim nie rozmawia, bo nie ma czasu. Czasem idę do mojej córki – a przecież mieszka niedaleko – nawet dwie godziny. Bo po drodze z tym rozmawiałam, i z tamtym, a innego spotkałam i rozmawiałam, i w taki sposób ponad półtorej godziny szłam z jednej ulicy na drugą. Bo ja jestem kontaktowa i nie umiem przejść nie zamieniwszy słowa. Od dziecka jestem przyzwyczajona, że w domu zawsze było pełno ludzi. Jak przyszło Boże Narodzenie i ozdabialiśmy choinkę bombkami i lalkami z bibuły, które się robiło samemu wcześniej, to przychodziły moje koleżanki i jednego dnia śpiewało się u mnie kolędy, a drugiego poszło do drugiej koleżanki i śpiewaliśmy u niej. Jak była choinka w domu to trzeba było posiedzieć przy choince i pośpiewać. Teraz jest inaczej, teraz prawdziwej wesołości nie ma. Ludzie nie radują się. Kiedyś z byle czego była radość. To już nie wróci.”

Słowa Pani Ewy zmusiły mnie do refleksji. Trudno nie dostrzec różnic w relacjach międzyludzkich sprzed kilkudziesięciu lat i obecnych.

Mamy nowe środki komunikacji: od telefonów komórkowych po internet, nie musimy już do siebie przychodzić, żeby być ze sobą w kontakcie. Świat pani Ewy powoli odchodzi w zapomnienie. Tej bliskości ludzkiej najwyczejniej w świecie już nie ma. Czy jest to jednak jednoznaczne z tym, że współczesny człowiek już jej nie potrzebuje? Opowieści pani Ewy są odpowiedzią na to pytanie.

Mimo postępu technologicznego chyba nigdy wcześniej ludzie nie byli tak samotni i tak bardzo nie pragnęli spotkania z drugim człowiekiem. Pani Ewa i nasza rozmowa to dowód na to, że takie spotkanie jest możliwe. Wychodząc zapewniłam, że się jeszcze spotkamy. Wiem, że tak będzie. Zabrałam ze sobą w opowieści pani Ewy część jej innego świata, a przecież właśnie w nim szacunek dla drugiego człowieka, punktualność i słowo to rzeczy święte.

Obraz za mgłą

Aleksandra Szatkowska, klasa III gimnazjum

– wywiad ze Stanisławą Szatkowską

Skąd pani pochodzi?

Urodziłam się w 1929 roku, czyli między I a II wojną światową w miejscowości Wojciechowo gm. Siemiatkowo (okolice Raciąża). Moi rodzice prowadzili tam gospodarstwo rolne. W tym czasie w okolicach mojego miejsca zamieszkania mieszkała jeszcze ludność niemiecka. Były to przeważnie rodziny, które prowadziły gospodarstwa rolne. Zdarzało się, że dzieci narodowości polskiej, m.in. ja pracowały w tych gospodarstwach.

A jakie jest pani pierwsze wspomnienie z naszej miejscowości?

Raciąż utkwił mi w pamięci jako małe miasteczko, do którego przyjeżdżałam wraz z rodzicami na targ we wtorek albo piątek. Szczególnie zapamiętałam rynek w Raciążu, bo tam właśnie odbywały się targi. Rynek był cały wybrukowany, a w dni targowe gromadziła się tam ludność. Ludzie poruszali się używając zaprzęgów konnych, dlatego też było bardzo dużo furmanek. Wśród sprzedających wyróżniali się Żydzi, którzy handlowali praktycznie wszystkim. Mieszkałi w drewnianych domach, niektóre z nich przetrwały nawet do dziś. W jednym z nich mieściły się trzy zakłady fryzjerskie. Budynek ten został niedawno wyburzony.

Co robiła wówczas młodzież w naszym wieku w czasie wolnym?

To były ciężkie czasy. Dzieci pomagały swoim rodzicom w pracy przy gospodarstwie, np. wypasały krowy, zbierały jaja od kur, pomagały przy wykopie ziemniaków. Znajdowały także czas na zabawę, np. chłopcy grali w piłkę, a dziewczęta grały w klasy i skakały na skakance. Czasami uczyły się robić na drutach, wyszywały serwetki, robiły pisanki albo ozdoby na choinkę.

Czym się pani zajmowała jako dorosła osoba?

Podobnie jak moi rodzice, całe życie pracowałam w gospodarstwie rolnym.

W którym roku poszła pani do szkoły?

W 1936 roku. Moja klasa liczyła ok. 20 osób. Wszyscy chodziliśmy ubrani w granatowe fartuszki z białymi kołnierzykami. Słabo pamiętam swoich znajomych ze szkoły. Obraz tamtych lat mam już jakby za mgłą. Pamiętam, że przedmioty były podobne do tych, które obecnie obowiązują w szkole. Najbardziej lubiłam język polski i prace ręczne. Niestety, nie pamiętam swoich nauczycieli.

Czy w miejscowości albo okolicy mieszkali ludzie innej narodowości albo innego wyznania?

Tak, byli to Niemcy i Żydzi. Miałam jedną koleżankę pochodzenia niemieckiego, lubiłyśmy spędzać ze sobą czas, lecz ona w czasie wojny wraz ze swoją rodziną wyjechała. W Łaszewie znajdował się kościół ewangelicki, a w okolicach Wojciechowa do dziś są pozostałości cmentarza niemieckiego. W Radzanowie stała piękna świątynia żydowska zwana bożnicą, zbudowana z czerwonej cegły. W Raciążu do dziś znajduje się budynek synagogi, w którym w późniejszych latach mieściło się Liceum Ogólnokształcące.

Jakie czasy wspomina pani najlepiej?

Moje dzieciństwo przypadło na bardzo trudne czasy, żyło się wtedy bardzo biednie, ale ludzie byli radośni, spotykali się po pracy w domach, żartowali, robili sobie różne psikusy, śpiewali, biesiadowali... Mimo biedy byli szczęśliwi, zakładali wielodzietne rodziny. Najgorzej wspominam czasy wojny, czasy po wojnie również były bardzo ciężkie. Nie wiadomo było, co przyniesie jutro, np. zdarzały się aresztowania bez żadnego uzasadnienia, wywożono mężczyzn i ślad po nich ginął na zawsze.

Jakie wydarzenie z dzieciństwa utkwilo pani najbardziej w pamięci?

Pamiętam jak w czasie wojny mieszkaliśmy na wsi, a w oddali było słychać odgłosy z frontu. Szczególnie w pamięci zapadł mi widok wysiedlenia ludności niemieckiej, którzy zabierali swój dobytek i poruszali się wozami konnymi w kierunku Sierpca.

Jak w tamtych czasach się komunikowano?

Nie było telefonów, ludzie komunikowali się ze sobą ustnie lub za pomocą listów, kartek pocztowych, a ważniejsze informacje były przekazywane przez okólnik.

Dziękuję bardzo za czas, który pani poświęciła na rozmowę ze mną.

Zachwiana równowaga

Krzysztof Langiewicz

– wywiad z Martą Langiewicz

Urodziłaś się 12 kwietnia 1927 roku, masz 90 lat. Opowiedz coś więcej o swoim dzieciństwie.

Tak, urodziłam się 12 kwietnia 1927 roku na Suwakach w powiecie sierpeckim. Moi rodzice to Jakub i Marianna Chmielewscy. Mieli 19 hektarowe gospodarstwo. Ojciec był wdowcem, miał trzy córki, które wychowywała moja mama. Z drugiego małżeństwa mojego taty miałam 8 braci: Adama, Józefa, Antoniego, Stanisława, Franciszka, Teodora, Mieczysława i Jana oraz trzy siostry: Natalię, Józefę oraz Melanię. Mój ojciec, a twój dziadek był bardzo muzykalny i grał na skrzypcach. Miał swój zespół muzyczny, a więc w soboty i święta grywał na weselach. Był to dodatkowy zarobek, który wówczas pozwalał na nieco lepsze życie. Niestety tata zmarł, gdy miałam trzy lata. Obowiązki utrzymania gospodarstwa spadły na najstarszych braci. Praca w gospodarstwie była dosyć mozolna i trudno było wiązać koniec z końcem. Żyło się nam bardzo ciężko.

Czym zajmowały się wówczas dzieci w Twoim wieku?

Na ogół musiały pomagać w gospodarstwie. Wypasały krowy na łąkach lub pilnowały gęsi, które były później skupywane przez kupców pochodzenia żydowskiego.

Czy w Twojej miejscowości albo okolicy mieszkali ludzie innej narodowości albo innego wyznania ?

Głównie ludność pochodzenia żydowskiego. Żydzi nie mieszkali na Suwakach, ale mieliśmy z nimi bliskie kontakty, gdyż wynajmowali od nas sad owocowy, a latem pomieszkowali w naszej stodole, pilnując tegoż sadu. Miałam koleżankę Żydówkę, która tu przyjeżdżała i często się z nią bawiłam. Jednak nie pamiętam jej imienia. Raz szukając jej pobiegłam do stodoly i natknęłam się na modlącego

się Żyda. Był nakryty jakąś tkaniną i to mnie bardzo wystraszyło, byłam jeszcze dzieckiem i nie znałam ich tradycji i sposobu modlenia się. Nikt nam też tego nigdy nie tłumaczył. W Radzanowie była synagoga, to około 10 km od mojej rodzinnej wsi. Mieszkało tam wielu Żydów. Mieli tam swoje sklepy i zakłady.

Jakie były stosunki między Żydami a Polakami?

Były raczej dobre. Nigdy nie słyszałam o jakichś konfliktach. Z tego co pamiętam zawsze regularnie wypłacali mamie należność za dzierżawę, a w sklepach sprzedawali Polakom towar bez pieniędzy, wpisując ich do zeszytu. Bieda była wokół i bardzo często Polacy nie mieli za co kupić podstawowych artykułów do życia. Pamiętam również, że w piątek wieczorem Żydzi wyjeżdżali do Radzanowa na modlitwę do synagogi. Pozostawał tylko jeden, który pilnował sadu i też się cały czas modlił. W przeddzień przygotowywali jedzenie, żeby w swoje święto nie pracować, tylko swój czas przeznaczyć Bogu.

Kiedy poszłaś do szkoły?

Nie wszystkie dzieci chodziły do szkoły mimo, że był obowiązek szkolny. Wynikało to często z trudnej sytuacji w domu i potrzeby pomocy w gospodarstwie. Ja poszłam do szkoły w wieku 7 lat, a więc w 1934 roku. Na początku lekcje odbywały się w domu prywatnym, gdyż szkołę dopiero budowano. Nową szkołę otwarto w Dzieczewie. Klasy były łączone, a więc nauczyciel uczył jednocześnie klasę I i II.

Ile dzieci było w klasie i czy pamiętasz swoich kolegów i koleżanki?

W jednej klasie było ok. 10–12 uczniów. Kolegów i koleżanki pamiętam np. Mariannę Wróblewską, Mariannę Bielańską czy też Felicjana Bujaka. Nauczano podobnie tak jak dziś: języka polskiego, historii, geografii, biologii, matematyki, robótek ręcznych, gimnastyki i religii, na którą jednak chodziliśmy do Kościoła. Najbardziej lubiłam język polski i historię. Każdego dnia naukę rozpoczynaliśmy i kończyliśmy modlitwą.

Czy pamiętasz swoich nauczycieli?

Naturalnie, że pamiętam. Był to Stanisław Nadarzewski. O ile dobrze pamiętam to był tam tylko jeden nauczyciel.

Co najbardziej utkwiło Ci w pamięci z lat szkolnych?

Pamiętam wiersz, którego mój nauczyciel kazał mi się nauczyć i recytowałam go wobec całej społeczności szkolnej. Wiersz poświęcony był marszałkowi Józefowi Piłsudskiemu, który zmarł w 1935 roku i w szkole odbywała się uroczystość poświęcona jego pamięci.

Pamiętasz jeszcze ten wiersz?

Tak pamiętam ale być może niedokładnie. Wiersz nosi tytuł *Marszałek w niebie*:

*Łzy nam jeszcze nie obeschły po wodza pogrzebie.
I wódz u Pana Boga meldował się w niebie.
Pan Bóg wodza mile witał, o wszystko go pytał.
I niebieskim stódkim chlebem nakarmił do syta.
Znam ja Ciebie, bom cię nieraz wspierał podczas bitwy.
Znam Twój naród bo najszczerze są polskie modlitwy.
Pan Marszałek podziękował, ostrogami brzęknął,
a tu niosą aniołowie nową szablę piękną.
Nowy mundur marszałkowski grzecznie mu podają,
do munduru najprawdziwsze gwiazdy przypinają.
Pan Marszałek patrzy smutnie, białe czoło marszczy.
Niepotrzebne mi te gwiazdy aniołowie mili.
Nie dla gwiazd żołnierze moi na wojny chodzili.
Tylko jednej rzeczy sercu memu trzeba-
Byście pięknej mej Ojczyźnie przychyliłi nieba.
Byście dali moc i sławę mojemu krajowi.
Tego jeszcze tylko pragnę mili aniołowie.*

Jak zapamiętałaś wybuch wojny?

Pamiętam bardzo słowa wypowiedane przez Naczelnego Wodza – Marszałka Edwarda Rydza-Śmigłego: „Nie oddamy nawet guzika od munduru”. Byliśmy przekonani, że pokonamy Niemców, że nasze wojsko nas obroni, odeprze niemiecką agresję. Wierzyliśmy w siłę naszego państwa. Miałam wówczas 12 lat. Wojna wybuchła w piątek rano. W niedzielę byliśmy w kościele w Gradzanowie. Jednak jeden z moich braci, Antoni, z siostrą Natalią poszli do kościoła w Radzanowie, skąd musieli uciekać, gdyż niemieckie lotnictwo bombardowało pobliską Mławę, a kilka samolotów również Radzanów. Opowiadali po powrocie, że Niemcy strzelali do uciekających ludzi z karabinów maszynowych, umieszczonych na pokładzie samolotu. Zginęło tam wielu ludzi, którzy próbowali biec do pobliskiego schronu. Oni ukryli się pod drzewami, a później uciekli przez las i wrócili szczęśliwie do domu. W kościele w Gradzanowie byli żołnierze, którzy bronili pozycji w rejonie Mławy. Wycofywali się, gdyż obronę przerwali Niemcy. Gdy wyszliśmy z nabożeństwa nadleciał samolot i wszyscy byli przekonani, że to nasze lotnictwo. Jednak dowódca ostrzegł, że to nieprzyjaciel. Żołnierze chcieli otworzyć do niego ogień, ale dowódca wydał rozkaz zakazujący prowadzenia ostrzału. Nie chciał narażać życia żołnierzy i ludności cywilnej. Powiedział do swoich żołnierzy – „nic już nie poradzicie, teraz trzeba chronić siebie i bliskich”.

Co się wydarzyło później?

Jeden z żołnierzy powiedział, że Niemcy dojdą tylko do Wisły i zasugerował żeby uciekać właśnie za Wisłę. Ludzie wozami i na pieszo uciekali zostawiając swój dobytek. My również z całą rodziną załadowaliśmy, co było można na wóz i opuściliśmy rodzinną wieś. Mama chciała jeszcze z rozrobionego już ciasta upiec chleb, ale nie zdążyła, gdyż krzyczano, że Niemcy już nadchodzą. Dojechaliśmy do miejscowości Zawidz oddalonej od Suwak ok. 25 km, tam mieliśmy rodzinę. Dowiedzieliśmy się od żołnierzy, że przegrywamy i Niemcy już są pod Warszawą. Odradzili nam dalszą ucieczkę. Po

trzech dniach wróciliśmy do rodzinnej wsi. Pozostawione ciasto ktoś inny wypiekł na chleb, a wokół byli już Niemcy.

Czy wiedzieliście, co stało się z ludnością żydowską?

Pamiętam tylko, że gdy wybuchła wojna nasi znajomi Żydzi bardzo się modlili, wyjątkowo gorliwie. Tak jakby przeczuwali coś złego. Zresztą cała ta wojna była złem. Gdy wróciliśmy do domu po tych kilku dniach – Żydów już nie było. Nastąpiła dziwna cisza i nikt o nich nie pytał. Zupełnie nie wiedziałam i nawet nie przypuszczałam, że mogło ich spotkać coś złego. Jak bardzo się wówczas myliłam. W tej nieświadomości żyliśmy bardzo długo. Aż do końca wojny.

Czy przed wojną w okolicy mieszkali gospodarze niemieccy?

Nie przypominam sobie. Jedynie wkrótce po wejściu Niemców wysiedlono stąd dwóch polskich gospodarzy, a na ich miejsce sprowadzono dwie rodziny niemieckie. Pracowałam jako dziecko u jednej z rodzin niemieckich. Pracował u nich również mój brat Jan. To była rodzina Wolgemuth. Mieli czterech synów: Alberta, Korneliusza, Alfreda, najmłodszego Ajgena oraz córki: Annę i Melę.

Jak byłaś traktowana przez tę rodzinę ?

Była to raczej dobra rodzina. Miałam swoje obowiązki w gospodarstwie jako pomoc, ale nie usłyszałam od nich złego słowa. Posiłki jadalіśmy wszyscy razem, a gdy przyjeżdżali z frontu ich synowie wszyscy razem się zbieraliśmy i opowiadaliśmy o trudach wojny. Służyli na froncie wschodnim, więc wiele ciężkich chwil tam przeżyli. Zachowywali się bardzo grzecznie i kulturalnie. Robiłam z wełny ciepłe skarpety na zimę, więc zabierali je ze sobą na zimny front wschodni.

Czy masz jakieś szczególnie złe wspomnienia z tego okresu?

Niestety tak. Z niejasnych do końca przyczyn, chociaż wydaje mi się, że to była „zastuga” jednej z Niemek – mój brat Jan trafił na okopy¹. Próbowaliśmy go stamtąd zabrać, ale ostatecznie trafił do obozu w Łtowie i tam przebywał do końca wojny. Wrócił schorowany, miał

¹ Przymusowa praca przy kopaniu umocnień wojskowych, okopów itp.

skatowane plecy i odbite nerki. Długo się leczył, ale szczęśliwie wyzdrowiał i po zakończeniu wojny założył rodzinę.

Jak pamiętasz zakończenie wojny?

Wkroczenie Rosjan z jednej strony było oczekiwane, ale z drugiej strony niosło kolejne obawy i niepokoje. Pamiętam również jak źle traktowali niemieckich cywili. Jedna z rodzin niemieckich z mojej wsi została rozstrzelana. Zastrzelony został nawet kilkuletni chłopiec, którego ciało leżało pod stołem odrzucone siłą karabinu maszynowego. To była rodzina Cajców. Nadzieją było to, że nie wszyscy Rosjanie mieli nieczułe serca. Za tym chłopcem wstawił się jeden z żołnierzy, chciał go ocalić. Ale jego wstawiennictwo nie pomogło. Chłopiec podzielił los całej rodziny. Rodzina Wolgemuthów trafiła do obozu przejściowego i wróciła do Niemiec. Kilka lat temu nawiązałam kontakt listowny z Alfredem Wolgemuth, jeszcze wtedy żył.

Wraz z końcem wojny nadszedł komunizm, jak oceniasz te zmiany?

Nie mogę oceniać dobrze chociażby z racji takiej, że mój brat Józef został aresztowany po wojnie przez UB i zarzucono mu wspieranie partyzantki antykomunistycznej. Nie wiem czy był w AK, ale na pewno żołnierze podziemia bywali u niego czasem wieczorami. Ktoś doniósł i został aresztowany. Trzymany był w więzieniu, bodajże w Sierpcu. Spał na desce, a gdy w dzień wstawał, to był po kolana w wodzie. Po powrocie do domu po kilku dniach zmarł, został pochowany na cmentarzu w Bieżuniu.

Jak oceniasz swoje życie i co chciałabyś przekazać młodemu pokoleniu?

Moje życie było trudne i pracowite. Mało w nim było zabawy i radości. Wychowałam sześcioro dzieci i chciałabym żeby nigdy ani oni, ani moi wnukowie i prawnukowie, jak również kolejne pokolenia nie zaznały nienawiści do i od innych narodów czy wyznań. We wszystkich nacjach są dobrzy i źli ludzie, i na takich tylko można ich dzielić. Myślę, że w tamtych czasach ta równowaga została zachwiana. Przewagę zdobyli ludzie źli, a dobrzy zostali zastraszeni i milczeli albo udawali, że nie widzą. Gdy dzieje się komuś krzywda

– nie można udawać, że nic się nie stało. To popycha ludzi złych do wyrządzania kolejnej krzywdy o jeszcze większych rozmiarach.

Autor: Krzysztof Langiewicz – opiekun grupy projektowej uczniów Gimnazjum przy Szkole Podstawowej im. Stanisława Konarskiego w Raciążu.

„Musieli wszystko odbudować, gdyż w czasie wojny całe gospodarstwo zostało zniszczone”.

„Dużo czasu spędzaliśmy razem na rozmowach”.

„Często człowiek musiał zmagać się sam ze sobą, z własnym strachem i sumieniem w obawie o życie najbliższych i swoje”.

„Materializm, który zawładnął światem zmienił cały system wartości. Ludzie już nie potrafią się cieszyć z małych rzeczy. Gonią za bogactwem i sławą”.

Trzcianka

„Gdy wszystko zaczęło się w życiu układać, przyszło najgorsze”.

„[...] spłonęli żywcem wraz z budynkami, w których mieszkali”.

„[...] znaleźli się również i tacy, którzy próbowali żerować na ludzkiej krzywdzie”.

„Nagle nad jej głową pojawił się samolot, który, wydawało się jej, że ją goni”.

Gdy przychodzi najgorsze

Filip Zdziarstek, klasa VI

– historia pani Czesławy Sarnackiej

Czesława Sarnacka jest 98 latką, która urodziła się w 1919 roku w Trzciance. Jest zapewne jedną z najstarszych osób żyjących w mojej miejscowości. Wybrałem ją na bohaterkę swojej pracy, bo zawsze interesowały mnie osoby w sędziwym wieku. Uważam, że są one żywym świadectwem historii i dopóki żyją, trzeba się nimi interesować, rozumieć je, pytać o przeszłość – „czytać w nich” jak w starych księgach.

Pani Czesława (z domu Kobylińska) urodziła się w ubogiej chłopskiej rodzinie. Od swoich najmłodszych lat, jak większość dzieci z jej wsi musiała pomagać swoim rodzicom w gospodarstwie. Początkowo jako małe dziecko wykonywała drobne prace w obejściu, a jako starsza opiekowała się młodszym rodzeństwem. Zajmowała się także przygotowaniem posiłków, gdy rodzice pracowali w polu. Na naukę zostawało bardzo mało czasu, często brakowało pieniędzy na zeszyty, ołówki, pióro czy atrament. Zrządzeniem losu był dla niej fakt, że szkoła (trzyklasowa) znajdowała się w jej rodzinnym domu. Ojciec małej Czesi za pieniądze i opał na zimę wynajął połowę domu na szkołę, do której uczęszczała. Czesława po zajęciach sprzątała pomieszczenia, a w czasie zimy zajmowała się również opalaniem izb. Mimo biedy i braku czasu wspomina swoje dzieciństwo z uśmiechem. Opowiada o nim podkreślając wciąż, że dzieci były takie same jak dzisiaj, zabawy podobne, ale mimo to życie dzieci na wsi zupełnie inne od współczesnego. – „Czasy były inne, ciężkie, to i dzieciom było gorzej, dużo gorzej”. – dodaje. Zapytana o swoich nauczycieli wspomina takie nazwiska jak Gałązka, Szulkowski, Kosakowska czy Karłowski. Dobrze również pamięta, że inne klasy szkoły powszechnej mieściły się w niedalekim domu Konarzyckich, (oddziały 4, 5) oraz w innej części wioski u pana Żabika (oddziały 6, 7).

Jako już młoda dziewczyna wyjechała do Warszawy do swojego wuja (brata ojca), gdzie zarabiała na swoje utrzymanie, pracując jako służąca. Po powrocie na wieś do Trzcianki wynajmowała się do prac w polu u zamożniejszych rolników. Jednak młodzież w tych czasach pomimo, iż ciężko pracowała spotykała się prawie każdego wieczora. Wolny czas upływał na rozmowach, śpiewach, opowiadaniu dowcipów i robieniu sobie na wzajem różnego rodzaju żartów. Raz na dwa tygodnie miejscowi strażacy organizowali we wsi zabawę taneczną, która przeważnie trwała do białego rana. Spotkania na takiej zabawie były głównym wydarzeniem towarzyskim we wsi. Mnie więcej w tym czasie pani Czesława zaczęła spotykać się ze Stanisławem Sarnackim, który wkrótce został jej mężem.

Gdy wszystko zaczęło się w życiu układać, przyszło najgorsze. Wrzesień 1939 roku moja bohaterka pamięta bardzo dobrze. Z trwogą w głosie wspomina brudnych, zakurzonych niemieckich żołnierzy, którzy jak złe duchy nadciągali od strony lasu. Do dziś pamięta kurz unoszący się spod kół przetaczających się wojskowych pojazdów. Lato tego roku było bardzo suche – nie padało przynajmniej od czerwca. Ten czerwiec pamięta bardzo dobrze, bo właśnie tego miesiąca zaczęto powoływać mężczyzn do wojska. Ludzie na wsi wiedzieli, że i bez wojny czeka ich ciężki rok. Susza, słabe zbiory wróżyły niedostatek do następnych zniw.

Po przejściu frontu życie w Trzciance zaczęło powoli wracać do normy. Niemcy dopiero w późniejszym czasie zaczęli wprowadzać swoje porządki. Początkowo, gdy brakowało pożywienia, bardziej operatywni mieszkańcy udawali się na lepiej zaopatrzone tereny w celu zdobycia choćby mąki czy cukru. Wywozili z wioski mięso i zamieniali je na inne artykuły. Pani Czesława w tym czasie również wędrowała pieszo – aż do swojej rodziny w Kobylinie, gdzie można było zdobyć artykuły, których brakowało we wsi. Mówi o ludziach z miasta wędrujących pieszo na wieś z workami po żywność. Takie wyprawy odbywały się dyskretnie, najczęściej nocą. Niemcy przyłapanych na takim procederze wywozili do obozów i więzień, a nawet karali śmiercią na miejscu. Do tych, którzy uciekali, strzelali bez ostrzeżenia. Pani Sarnacka wspomina kuzyna,

który uciekając przed niemieckim patrolem został postrzelony w twarz. Przeżył wojnę, ale do końca swoich dni był oszpecony.

Z rozmowy wynika, że okrucieństwo i terror ze strony niemieckiego okupanta narastał w miarę upływu czasu. Najeżdźca był bezwzględnie okrutny wobec Żydów i tych, którzy im pomagali. Pamięta żydowskie rodziny mieszkające w Trzciance do 1939 roku. Według pani Czesławy w Trzciance takich rodzin było osiemnaście. Ich gospodarstwa były skupione głównie w obrębie dzisiejszej szkoły i tak zwanego „zakrętka”. Ludzie ci zajmowali się głównie handlem lub byli rzemieślnikami.

Wspomina szewca, którego nazywa „Szulim”, i sklep prowadzony przez jego żonę. Mówi o pysznych bułeczkach i ciasteczkach pieczonych i sprzedawanych przez właścicielkę. Przypomina sobie, jak któregoś dnia przebywała u swojej koleżanki Żydówki w domu Haimaka. Były tam wypiekane mace na zbliżające się święto paschy. Do dziś pamięta sprawne ręce gospodyni wyrabiające i formujące ciasto. Pamięta również miejsce, w którym niegdyś znajdowała się synagoga. Opowiada o wspólnocie żydowskiej, przeżywającej swoje święta. o ich modlitwach i obyczajach. W wypowiedzi często przeplatają się imiona „Szumł”, „Sura” czy „Mosiek”.

Z wypowiedzi mojej rozmówczynie wynika, że znaczna część tego społeczeństwa pozbyła się swojego dobytku i uciekła ze wsi jeszcze przed nadejściem Niemców. Ci, którzy pozostali ukrywali się. Często pomagali im mieszkańcy, którzy do niedawna byli ich sąsiadami. O tym jednak nie wolno było mówić, ponieważ pomoc Żydom, a zwłaszcza ukrywanie ich było przez Niemców karane śmiercią. Jedną z rodzin ukrywającą Żydów w Trzciance w czasie okupacji była rodzina Deptułów. Wśród mieszkańców znaleźli się również i tacy, którzy próbowali żerować na ludzkiej krzywdzie. Pani Czesława mówi tu o pewnym człowieku, który kolaborował z Niemcami. Donosił na mieszkańców wsi, zdradzał kryjówki Żydów, wydawał ich na pewną śmierć. Wśród mieszkańców okrył się on niechlubną sławą. W późniejszym czasie spotkała go jednak kara – został wydany na niego wyrok śmierci i wykonany przez żołnierzy AK.

W miarę rozwoju sytuacji na froncie cofający się Niemcy znów powrócili licznie do Trzcianki, tym razem na dłużej. Wycofując się przed Armią Czerwoną budowali umocnienia nad Bugiem. Do prac fizycznych przy budowaniu okopów i innych umocnień była wykorzystywana okoliczna ludność. Opór miejscowych lub ucieczka w takiej sytuacji również była karana śmiercią. Niemcy w czasie okupacji nakładali na rolników kontyngent, czyli obowiązek oddawania określonej ilości mięsa, zboża i innych produktów rolnych na potrzeby Wehrmachtu. Życie w tych czasach nie było łatwe. Uważać trzeba było na wszystko i na każdym kroku. Często człowiek musiał zmagać się sam ze sobą, z własnym strachem i sumieniem w obawie o życie najbliższych i swoje.

Często zdarzało się, że w tym samym dniu w obejściu przebywali Niemcy, a kilka godzin później partyzantka na stałe ukrywająca się w okolicznych lasach. Chłopcy mieszkający w lesie też chcieli czasami zjeść, ogrzać się i wypaść w normalnych warunkach. Często nocowali w sprawdzonych wcześniej obejściach. Za pomoc okazaną żołnierzom z lasu Niemcy zamordowali w Trzciance rodzinę Majewskich (mieszkali w sąsiedztwie obecnej szkoły) oraz Piekarskich (okolice lasu od strony leśniczówki). Okrucieństwo ze strony najeźdźcy w takich sytuacjach nie miało granic, członkowie wspomnianych rodzin spłonęli żywcem wraz z budynkami, w których mieszkali.

Gdy front do wioski zbliżał się tym razem ze wschodu, a wraz z nim Sowieci, Niemcy stawali się jeszcze bardziej bezwzględni wobec miejscowej ludności. Sytuacja stawała się jeszcze bardziej nerwowa gdy zaczęły pojawiać się na niebie radzieckie samoloty. W wyniku prowadzonych działań wojennych spłonęło wiele zabudowań. Opowiadając o tym pani Czesława podkreśla, że Trzcianka w tamtych czasach nie była tak rozbudowana jak dziś. Wojska sowieckie po przerwaniu linii oporu na rzece Bug zaczęły przeć na zachód. Niemcy w pośpiechu wycofywali się w kierunku Narwi, gdzie front zatrzymał się jeszcze na kilka długich miesięcy. Po Niemcach pojawili się Rosjanie. Okazało się, że żołnierze Armii Czerwonej, choć wyzwolili Polskę spod niemieckiej okupacji, też byli najeźdźcami i wprowadzali swoje porządki. To czego

nie zabrali lub nie zniszczyli Niemcy, niszczyli Sowieci. Ich obecność we wsi sprawiała, że wiele młodych dziewcząt musiało ukrywać się lub przebierać za starszki, aby uniknąć gwałtu. Z opowiadań wynika, że w porównaniu z Niemcami byli oni znacznie gorzej wyposażeni. Brak broni i mundurów u znacznej części żołnierzy sprawiała, że wyglądali oni co najmniej dziwnie. Przerzątała jednak ich ilość i determinacja.

Po odejściu wojsk na zachód sytuacja we wsi uspokoiła się nieco. Trzeba było odbudować zniszczone gospodarstwa, dalej orać ziemię, która naszpikowana była „niespodziankami” z czasu wojny. Często zdarzało się, że rolnik poszedł w pole i nie wrócił, bo rozerwała go mina. Pani Czesława wspomina, że w tamtych czasach wielu młodych chłopców straciło życie lub zdrowie, bawiąc się powojennymi znalezi-skami. Po wojnie żyło się ciężko, dalej brakowało wielu podstawowych środków do życia. Wielu mężczyzn nie wróciło z wojny, bo oddali życie za ojczyznę. Ci, którzy przeżyli nie zawsze mogli wrócić, gdyż było to nie na rękę nowej komunistycznej władzy.

Po chwili milczenia moja bohaterka oznajmiła: – „Teraz są najlepsze czasy. Przez całe moje życie nigdy nie było tak dobrze, jak teraz. Człowiek nie głoduje, zimą nie marznie, ma gdzie mieszkać. Dzieci mają dostęp do nauki, opieki medycznej, mogą się uczyć i beztrudnie bawić, nie muszą pracować. Przeżyłam 98 lat. 98 lat”. – podkreśla. – „Życzę wam, kochani, żeby takie czasy jak obecnie trwały jak najdłużej. Bo teraz macie to, co dla człowieka najważniejsze”.

Trzcianka bez prądu

Oliwia Kurowska, klasa VI – wywiad z dziadkiem Stanisławem

Mój dziadek Stanisław mieszka w Trzciance od urodzenia i wiele wie o naszej miejscowości. Urodził się w maju 1955 roku. Zapytałam się go, jak kiedyś się kiedyś tutaj żyło. Odpowiedział, że to były trudne czasy, bez elektryczności, kiedy mieszkania oświetlały lampy naftowe. Moi pradiadkowie zajmowali się gospodarstwem, w którym pomagać też musiał mój dziadek. Młodzież w naszym wieku nie miała wielu rozrywek – chodzili na jagody, bawili się w lesie w chowanego oraz pilnowali bydła.

Mój dziadek poszedł do szkoły 1962 roku. W jego klasie było ponad 30 osób i dziadek wszystkich pamięta. Wszystkie przedmioty szkolne były takie same jak dzisiaj, tylko religii nie było, a niektóre przedmioty nazywały się inaczej np.: muzyka to był śpiew, a plastyka – rysunek. Dziadek powiedział, że najbardziej lubił matematykę, a gdy zapytałam o nauczycieli zaczął wszystkich po kolei wymieniać.

Zapytałam dziadka o jego najlepsze wspomnienie z dzieciństwa. Dziadek chwilę pomyślał i powiedział z uśmiechem, że jego najlepsze wspomnienie z dzieciństwa to podłączenie prądu. Dodaje, że kiedy był dorosły, czasy były o wiele łatwiejsze niż wtedy, kiedy był dzieckiem. Po ukończeniu edukacji dziadek pracował w zakładzie robót wiertniczych oraz był pracownikiem na kolei.

Nasza miejscowość bardzo się zmieniła od czasów jego młodości. Gdy była wojna, mojego dziadka nie było go jeszcze na świecie. Dowiedziałam się jednak, że za czasów moich pradiadków w Trzciance mieszkali Żydzi, ale po wojnie nie mieszkali tu już ludzie innej narodowości, więc mój dziadek nie miał żadnych kolegów ani koleżanek innej narodowości ani innego wyznania. Sama Trzcianka zyskała nową, lepszą drogę, podłączono wodę, kanalizację, wybudowano więcej budynków i zbudowano powstała nową szkołę. Podczas przeprowadzania wywiadu z moim dziadkiem byłam szczęśliwa i bardzo zaciekawiona.

Dom pachnący drożdżowym ciastem

Agnieszka Kurowska, klasa VI – historia dziadków

W październiku 2017 r. roku uczestniczyłam wraz z moimi kolegami i koleżankami z klasy w Akademii Młodego Obywatela Jana Karskiego – projekcie zorganizowanym przez Fundację Jana Karskiego w Warszawie.

Bardzo poruszył mnie film dokumentalny o Janie Karskim, który obejrzałam podczas pobytu w siedzibie Fundacji. Były w nim drastyczne sceny przedstawiające pomordowanych Żydów.

Nigdy dotąd nie rozmawiałam z nikim o czasach II wojny światowej, dla mnie tak bardzo odległych, a znanych jedynie z obrazów w telewizji. Postanowiłam porozmawiać o tym z moimi dziadkami: Krystyną i Stanisławem Kurowskimi. Spotykam się z nimi dość często, rozmawiamy o różnych sprawach, ale nigdy nie miałam okazji porozmawiać o tych smutnych czasach, których oni byli świadkami jako dzieci. Udałam się z wizytą do domu dziadków, który pachnie pysznym ciastem drożdżowym mojej babci, w którym zawsze czeka na mnie herbata zaparzona w specjalnym czajniczku oraz uśmiech dziadka.

Babcia urodziła się w grudniu 1932 r. a dziadek w styczniu 1933 r. Oboje mają po około 85 lat i są razem już 63 lata po ślubie. Dziadek miał ciężkie życie, ponieważ wychowywał się bez ojca. Pamięta doskonale jak miał 6 lat i rankiem przyszedł do niego jego tata i powiedział mu: „Ja muszę iść, a ty teraz tu będziesz gospodarzem”. Przycisnął syna mocno do piersi, jakby przeczuwał, że już nigdy nie wróci do domu i nie zobaczy więcej swoich najbliższych. Ojciec dziadka został powołany do wojska w sierpniu 1939 r. podczas powszechnej mobilizacji. We wrześniu dostał się do niewoli i trafił na teren Związku Radzieckiego. Nigdy już stamtąd nie wrócił. Teraz bardziej rozumiem napis na pomniku nagrobnym „Zginął na wschodzie” i że jest to grób symboliczny. Mama dziadka długo czekała na jego powrót. Prowadziła poszukiwania przez Polski Czerwony Krzyż, ale bezskutecznie. Do dzisiaj nie wiadomo, co stało się z moim pradiadkiem i gdzie został pochowany. Mój dziadek chodził do szkoły

tylko 2 lata, ponieważ jako mały chłopiec musiał pomagać przy pracy w polu i w gospodarstwie. Pamięta, że musiał pracować ponad swoje siły. Był jeszcze tak młody, że nie potrafił utrzymać pług za koniem, ale niestety musiał to robić. Pracował tak dużo, że nie miał czasu na naukę, dlatego przestał chodzić do szkoły. Wieczorem po powrocie do domu, często nie miał siły, żeby spędzać czas z kolegami.

Dziadek pochodzi z wielodzietnej rodziny. Miał dwie siostry i brata o imieniu Henryk. Dziadek go nie pamięta, gdyż Henryk zmarł w wieku 6 lat. Gdyby żył, na pewno byłoby im łatwiej razem pracować w polu. Dziadek wspomina, że praca na roli była bardzo ciężka. Większość prac była wykonywana ręcznie – koszenie zboża, wiązanie go w snopki, ustawianie na polu w tak zwane dziesiątki, zwożenie do stodoły, a następnie potem jego młocka za pomocą cepów. Nie było maszyn, tylko proste narzędzia typu kosa, sierp, grabie, widły. Wyjątek stanowił pług konny jednoski-bowy. W gospodarstwie były także żarna do mielenia zboża na mąkę. Dziadek denerwuje się, gdy słyszy jak ktoś narzeka, że dzisiaj na wsi jest ciężko pracować. – „Dzisiaj na wsi jest luksus! Nie to co kiedyś.” – mówi.

Moja babcia cieszyła się pełną rodziną. Miała mamę, tatę i dwóch braci. Z czasów wojny najbardziej zapamiętała samoloty. Gdy była mała, jej mama urodziła dziecko z dala od wsi, dlatego kazała córce iść do domu po pieluszkę i ubranka dla dziecka. Babcia pobiegła do domu, wzięła potrzebne rzeczy i ruszyła w drogę powrotną. Nagle nad jej głowę pojawił się samolot, który, wydawało się jej, że ją goni. Przerażona uciekała ile sił w nogach. Do dziś pamięta ryk jego silnika i ogromny strach. Na szczęście samolot poleciał dalej i nic złego się wtedy nie stało. Ale wspomina też naloty, gdy trzeba było kryć się w piwnicy. Wspomina, jak była zabrana przez stacjonujących na terenie naszej wsi Niemców do obierania ziemniaków dla niemieckich żołnierzy, którzy ustawiali armaty. Pamięta także ogromny huk wystrzałów tych armat. Jej ojca zabrano do kopania okopów. Czas wojny pamięta jako okres ciągłych obaw i lęku o dzień następny.

Najlepiej wspomina lata szkolne. Lubiła chodzić do szkoły i się uczyć. Szkoła była w dwóch budynkach mieszkalnych. Było w niej około 40

dzieci podzielonych na cztery klasy. Babcie w klasach młodszych uczyła pani Bochnianka, a w starszych pan Karłowski. Nieśmiało przyznaje, że była jedną z najlepszych uczennic w szkole. Jej ulubione przedmioty to historia i język polski. Pamięta nawet do dziś wiersze ze swojej podstawówki sprzed ponad siedemdziesięciu lat. Z łatwością wyrecytowała wiersz Wincentego Pola pt. „Dobre rady”

*Wstawaj rano, sypiaj twardo
hartuj duszę , jadaj miernie
z bólem łam się z młodu hardo,
a dochowaj słowa wiernie.*

*Ucz się dobrze, abyś umiał
rozkazywać, gdy tak padnie.
Ucz się pracy byś zrozumiał
co tam leży w życiu na dnie.*

*Rano rozważ, co masz czynić,
nim postawisz krok na progu
a wieczorem licz się Bogu.
I już lepiej jest to winić
w sercu siebie niżli bliźnie,
kiedy noga się pośliznie.*

*Nic nie pocznij bez rozwagi,
Boga wzywaj do pomocy,
to nie braknie ci odwagi,
ani we dnie ani w nocy.*

Napisany trochę archaicznym jak dla mnie językiem, ale zawiera wciąż aktualne rady. Babcia wyrecytowała mi jeszcze wiersz Marii Konopnickiej pt. „Przed sądem”. Mówiła chyba długo, bez zająknięcia, a ja słuchałam z wypiekami na twarzy, poruszona jego wzruszającą treścią.

Po ukończeniu siedmiu klas szkoły podstawowej babcia rozpoczęła naukę w gimnazjum w Wyszkowie oddalonym o 10 kilometrów od jej rodzinnej miejscowości. Przez dwa tygodnie chodziła pieszo, ale w końcu musiała zrezygnować. Zaczęła naukę szycia u miejscowej krawcowej. Do dzisiaj sprawnie szyje na maszynie oraz wspaniale robi na drutach i szydełku. Dzięki swoim umiejętnościom mogła zarobić pieniądze, a także ubrać męża i dzieci. Babcia wspomina, że w młodości miała tylko jedną wyjściową sukienkę i parę butów. Ludzie jadali równie prosto: zazwyczaj ziemniaki, kapustę albo to, co wyhodowali na polu i w ogrodzie. Mięso jadało się od święta. Wspomina, jak przędła len i wełnę na kołowrotku, a potem z uzyskanych włókien tkęła na krosnach materiał na koszule, pościel i bieliznę. Te wszystkie prace odbywały się przy lampie karbidowej, a potem naftowej.

W trakcie naszej rozmowy zapytałam babcię o ludność żydowską w naszej miejscowości. Odpowiedziała, że jak przez mgłę pamięta Ryfkę, dziewczynkę w jej wieku oraz dorosłych: Jankiela i Mosza. Pamięta także otwierane wieczorami drzwi ich domu, za którymi ktoś stał. Jej tata wyносił wtedy ukradkiem chleb dla ukrywających się Żydów. Nie mówił, komu go wynosi, żeby małe dzieci nie wiedziały i przypadkiem nie rozpowiadały o tym innym, gdyż za pomoc ludności żydowskiej groziła śmierć. Z opowiadań swojej matki wie także, gdzie znajdował się żydowski dom modlitwy zwany bożnicą i gdzie stały żydowskie domy. Ludzie w nich mieszkający już nigdy do nich nie wrócili.

Moi dziadkowie wychowali czwórkę dzieci, doczekali się sześciorga wnuków i dwojga prawnuków. Pomimo trudnych doświadczeń z dzieciństwa i niełatwych czasów młodości, są bardzo pogodnymi i życzliwymi ludźmi. Dziadek zaraża wszystkich swoim uśmiechem, rzadko skarży się, zawsze potrafi mądrze doradzić. Babcia to chodząca dobroć, troszcząca się zawsze o wszystkich i każdego z osobna. Bardzo się cieszę, że ich mam. Bardzo ich kocham.

Dużo rozmawialiśmy

Hubert Wróbel, klasa VI

– wywiad z babcią

Czasy dzieciństwa naszych rodziców i dziadków znacznie różniły się od naszych. Nie było wtedy komputerów, laptopów ani smartfonów. Wywiad przeprowadzony z moją babcią przybliżył mi bardzo realia tamtych lat.

W którym roku się babciu urodziłaś?

Urodziłam się w 1952 roku. Moi rodzice zajmowali się rolnictwem i z tego się utrzymywaliśmy. Rodzice mieli małe gospodarstwo i kilka zwierząt: krowę, świnię i kury.

Co zapamiętałaś z dzieciństwa?

Pamiętam beztroskie zabawy z rówieśnikami. Dawniej więcej czasu spędzaliśmy na dworze, nawet kiedy było zimno. Pamiętam zabawy na śniegu, jak lepiliśmy bałwany, rzucaliśmy śnieżkami. Dużo też grało się w gry planszowe, a nie – jak teraz – na komputerach. Były to czasy ubogie i ciężkie dla ludzi pod względem dostępu do produktów domowych i przemysłowych. Młodzież w naszym wieku w czasie wolnym grała w piłkę albo tzw. klasy, a w wakacje chodziła na jagody. Bawiliśmy się też w berka, w chowanego, podchody. Dużo czasu spędzaliśmy razem na rozmowach.

Opowiedz mi coś o swojej szkole.

Do szkoły poszłam w 1959 roku. Było nas w klasie 40 osób, ale i tak pamiętam wszystkich moich kolegów i koleżanki. Nauczane przedmioty były takie same jak w obecnych czasach, z tym, że nie było języka angielskiego. Najbardziej lubiłam język polski. Szkoły były też inaczej wyposażone. Nie było łazienek, sal gimnastycznych. Lekcje wychowania fizycznego odbywały się na korytarzach.

Pamiętam wszystkich nauczycieli, którzy mnie uczyli, a najbardziej utkwiły mi w pamięci panie od języka polskiego i historii, ponieważ były wyrozumiałe i sprawiedliwe.

Czasy szkolne wspomina zdecydowanie najlepiej – moje zabawy z przyjaciółmi i zwłaszcza wycieczki szkolne, najgorzej zaś wspominam moment ukończenia szkoły podstawowej i rozstania z nimi. Po ukończeniu szkoły pracowałam w rolnictwie, jak moi rodzice.

Jak od czasu Twojego dzieciństwa zmieniła się nasza miejscowość?

Od czasu mojego dzieciństwa nasza wieś bardzo się rozbudowała. Jest dużo nowoczesnych gospodarstw, duża szkoła i kilka sklepów. Mieszkańcy kiedyś nie mieli samochodów, a dziś praktycznie każdy ma auto.

Mimo braku komputerów i smartfonów w dawnych czasach dzieci spędzały więcej czasu na świeżym powietrzu, spotykały się z kolegami i koleżankami bawiąc się w różne zabawy. Po tej rozmowie czasy dzieciństwa naszych dziadków nie były wcale takie złe, jak mogłoby nam się zdawać. Były to z pewnością inne czasy niż obecne, bez komputerów i smartfonów, ale za to czasy, w których dzieci bawiły się razem, a ludzie spotykali, żeby ze sobą побыć i porozmawiać.

Utrata dzieciństwa

Klaudia Pujer, klasa VI

– historia pani Aleksandry Piórkowskiej

Szój wywiad przeprowadziłam z panią Aleksandrą Piórkowską, 89-letnią mieszkanką mojej miejscowości Trzcianka, która przeżyła II wojnę światową. Pani Aleksandra zgodziła się podzielić ze mną swoimi wspomnieniami z czasów dzieciństwa.

Urodziła się w 1928 roku i pochodzi z sąsiedniej wsi Przyjmy, w której spędziła swoje dzieciństwo. Jej rodzice prowadzili małe gospodarstwo rolne, w którym pani Aleksandra często im pomagała razem ze swoim rodzeństwem.

W 1935 roku podjęła naukę w szkole w Brańszczyku, do której codziennie chodziła około 3 km piechotą po zabłoconych drogach. W szkole nauczano wtedy głównie języka polskiego, matematyki, rysunku i śpiewu. Razem z panią Aleksandrą w klasie było około dwudziestu uczniów. Najbardziej w pamięci utkwiła jej nauczycielka, pani Gacoń, która uczyła języka polskiego i śpiewu. Była życzliwa i opiekuńcza, za co pani Aleksandra bardzo ją lubiła i podziwiała. Czas wolny od szkoły spędzała pomagając rodzicom w gospodarstwie lub na zabawie w chowanego w sadzie za domem. Spotykała się również z koleżankami. Wspólnie śpiewały piosenki i bawiły się własnoręcznie zrobionymi zabawkami. Po ukończeniu szkoły podstawowej pani Aleksandra chodziła do znajomej krawcowej na naukę szycia.

Pani Aleksandra nie miała koleżanek ani kolegów innej narodowości, ale w jej wsi mieszkała żydowska rodzina. Pamięta młodego chłopca, który sprzedawał macę, albo wymieniał ją na inne rzeczy: masło, jabłka, mleko.

Gdy w 1939 roku wybuchła II wojna światowa pani Aleksandra miała zaledwie 11 lat i wspomina ten czas jako pełen strachu o życie całej

rodziny i niewiedzy o tym, co się wokół dzieje. Podczas wojny w domu pani Aleksandry kwaterowało dwóch niemieckich żołnierzy, z których jeden mówił bardzo dobrze po polsku i wołał na nią Olga. Żołnierze wymagali sytych posiłków, które przygotowywała razem z mamą. W zamian dawali jej ojcu papierosy i konserwy.

Po pytaniu o czasy wojny pani Aleksandra na chwilę zamilkła – rozważała, czy nie jestem zbyt młoda na opowiedzenie mi historii, która pozostawiła niemiłe wspomnienia. Po chwili zaczęła, że pamięta, jakby to było dzisiaj, pierwsze strzały, przemarsz wojsk, odgłosy bombardowania, ryk samolotów wojskowych, oraz słowa matki: „Córko, musimy być dzielne – wybuchła wojna”. Dramatyczne chwile, które utkwily w jej pamięci to, kiedy któregoś dnia podczas wojny zaczęło się bombardowanie. Cała jej rodzina uciekła do schronu, który znajdował po drugiej stronie drogi, naprzeciwko ich domu. W całym popłochu ona jedna została sama w domu. Ze strachu schowała się pod łóżko, lecz po chwili wrócił po nią niemiecki żołnierz, który u nich kwaterował. Złapał ją za rękę i zaprowadził do rodziców do schronu. Akurat przejeżdżał tamtędy czołg, który – niewiele brakowało – najechałby na schron i wszyscy zostaliby przysypani ziemią.

Najgorsze wspomnienia wiążą się jednakże z tym, że została zabrana na roboty do dworu w Brańszczyku, gdzie pracowała przy żniwach pilnowana przez niemieckiego żołnierza na koniu z batem w ręku. Pracował tam również chłopiec, który namawiał Aleksandrę do ucieczki, lecz ona nie miała na tyle odwagi. Pewnego dnia podczas pracy w polu chłopiec zaczął uciekać i został zastrzelony na jej oczach. Z pomocą przyszła jej matka, która nocą sprowadziła ją do domu. Pamięta również dzień, kiedy do ich domu zapukali żołnierze, zabrali jej brata i wywieźli go do Niemiec na przymusowe roboty. Wrócił do domu po dwóch latach, całą drogę powrotną przebywszy pieszo. Pamięta szczęście matki, gdy go ujrziała, lecz jej syn nie przypominał on już tego samego chłopca, którego zapamiętała.

Do Trzcianki pani Aleksandra przybyła po wojnie w wieku 20 lat razem ze swoim mężem i kilkumiesięcznym synkiem. Postanowili osiedlić

się na gospodarstwie po dziadkach jej męża. Musieli wszystko odbudować, gdyż w czasie wojny całe gospodarstwo zostało zniszczone. Ocalała miała letnia kuchnia, w której zamieszkali. Odkupili od pewnych ludzi dom do zestawienia i tak rozpoczęli budować swoją przyszłość.

Po wysłuchaniu wspomnień pani Aleksandry byłam bardzo wzruszona. Nie mogłam wyobrazić sobie, że tak młoda dziewczyna przeżywała tyle bólu, cierpienia i strachu przed kolejnym dniem. W wieku 11 lat utraciła swoje dzieciństwo i musiała stać się dojrzała niczym dorosła, aby przeżyć. Była to dla mnie niesamowita i niezapomniana lekcja historii.

Pani Alina

Karolina Pułaska, klasa VI

– wywiad z panią Aliną Kurowską

W listopadzie 2017 roku przeprowadziłam wywiad z panią Aliną Kurowską. Towarzyszyła mi moja babcia. Po przyjeździe do Pani Aliny przywitaliśmy się ciepło i zaczęliśmy rozmowę. Rozmowa toczyła się bardzo spokojnie i miło, choć trochę się stresowałam. Bardzo miło prowadziło mi się rozmowę z panią Aliną.

W którym roku się pani urodziła i skąd pani pochodzi?

Urodziłam się w 1940 roku w miejscowości Chlebczyn, powiat Łosice, w województwie warszawskim. W 1963 roku po ukończeniu Studium Nauczycielskiego w Ciechanowie zaczęłam w Trzciance pracować jako nauczycielka.

Może pani opowiedzieć coś o swoim dzieciństwie?

Moje dzieciństwo przypadło na lata powojenne. To były ciężkie i trudne czasy. Moi rodzice byli rolnikami. W domach często brakowało pieniędzy na podstawowe potrzeby, takie jak odzież czy obuwie. Lata dzieciństwa i wczesnej młodości były czasami trudnymi.

Jestem bardzo ciekawa, co robiła wówczas młodzież w moim wieku?

Dzieci bawiły się w zabawy na świeżym powietrzu, gra w klasy, berka, podchody, zaś zimą zabawy na śniegu. Ale dzieci też bardzo często pomagały rodzicom w pracach polowych, np. pasąły krowy. Naukę w szkole rozpoczęłam w roku 1947 w szkole w Sarnakach, miejscowości oddalonej od mojej wioski o jeden kilometr. Kilkoro kolegów i koleżanek pamiętam, ale już nie wiem ile dzieci było w mojej klasie. Wiem, że były klasy równoległe: a, b i c. Po ukończeniu szkoły podstawowej zdałam egzamin do Liceum Ogólnokształcącego w Łosicach. Po ukończeniu tego liceum, tak jak wcześniej wspomniałam, zdałam egzamin do Studium Nauczycielskiego w Ciechanowie

– bardzo chciałam być nauczycielką. W 1963 rozpoczęłam pracę w szkole podstawowej w Trzciance, gdzie przepracowałam 34 lata, a obecnie jestem na emeryturze.

Jakie przedmioty były wtedy nauczane w szkole?

Były to język polski, matematyka, biologia, geografia, historia, prace ręczne, rysunki, gimnastyka. Najbardziej lubiłam język polski i prace ręczne. Nie pamiętam wszystkich swoich nauczycieli. Najbardziej utkwiła mi w pamięci pani Grabczyk, imienia nie pamiętam. Uczyła nas języka polskiego i pracowała w bibliotece. Była to moja ulubiona nauczycielka.

Czy w pani miejscowości albo okolicach mieszkali ludzie innej narodowości albo innego wyznania?

W pobliżu mojej okolicy mieszkali prawosławni – w Siemiatyczach znajdujących się 12 km od mojej wsi. Mieli tam cerkiew prawosławną. Przed wojną w okolicy mieszkali też Żydzi, ale jedynym śladem po nich został kirkut – cmentarz – który mijałam idąc do pociągu. Nie miałam koleżanek i kolegów innych narodowości.

Babcia Grażyna

Maksymilian Bajor, klasa VI

– opowieść babci Grażyny Durko

Urodziłam się w 1952 roku w Radzynie Podlaskim, później mieszkałam w Warszawie. Moja mama zajmowała się domem, a tata był hydraulikiem. Będąc dzieckiem lubiłam latem grać z innymi dziećmi w podchody i w chowanego, a zimą chodziliśmy się na górkę, na sanki. Czasy młodości to dla mnie najlepszy czas, zwłaszcza kiedy byłam nastolatką. Chociaż nie wszystko wspominam dobrze. Kiedy miałam 17 lat zmarła moja mama, to był mój największy ból.

Do szkoły poszłam w roku 1959. W klasie było nas ponad 20 dzieci. Najbardziej pamiętam Zdziśka Sadocha, Tarka Kalickiego, Elę Sucharę, Ewę Zielińską. Pamiętam też kilku moich nauczycieli, ale nie jestem w stanie przypomnieć sobie ich nazwisk. Przedmioty wówczas były takie jak obecnie, ze wszystkich najbardziej lubiłam geografię, co mi się przydało później w życiu, gdyż po ukończeniu edukacji pracowałam jako geolog. Po ukończeniu pracy przeszłam na emeryturę, niestety bardzo niską.

W pracy poznałam męża, a po naszym ślubie zamieszkaliśmy w Trzciance. Tu po raz pierwszy spotkałam się z rodzicami mojego męża – to moje pierwsze wspomnienie z Trzcianki. To miejsce bardzo się zmieniło od czasów, kiedy tu zamieszkałam. Jest dużo nowych budynków i nowa szkoła podstawowa. Od kilkunastu lat mamy drogę asfaltową, a teraz trwa budowa trasy ekspresowej, która przebiega przez naszą miejscowość.

Z dawnych lat

Oliwia Nasiadka, klasa VI

– historia pani Krystyny Rosińskiej

Przeprowadziłam wywiad z jedną z mieszkanek wsi Trzcianka, panią Krystyną Rosińską, z zawodu krawcową, urodzoną w 1937 r. Pani Krystyna jest rodowitą mieszkanką Trzcianki, tu spędziła swoje dzieciństwo, ukończyła szkołę, dorastała, założyła rodzinę i wychowywała swoje dzieci. Jej dziadkowie i rodzice prowadzili we wsi sklep, więc mała Krysia zawsze miała coś słodkiego. Opowiedziała mi, że w czasach jej dzieciństwa nie wszystkie dzieci miały na co dzień słodycze, więc pewnego dnia zaniósła do szkoły cukierki i obdarowała nimi dzieci. Dziś wydaje nam się, że to błaha rzecz, ale w tamtych czasach sprawiła tym gestem ogromną radość koleżankom i kolegom.

Rozmawiałyśmy o jej latach szkolnych. Szkołę Podstawową w Trzciance rozpoczęła w roku 1945, w klasie uczyło się wówczas 38 uczniów, a wychowawczynią była pani Krystyna Książek. Bardzo ciepło wspominała swoją nauczycielkę. Wychowawczyni słuchała ich pytań i zawsze starała się na nie odpowiadać, dbała o swoich uczniów, starała się jak najlepiej ich wychowywać i uczyć. Wspominała też innych nauczycieli, którzy ją uczyli, a byli to: Wacław Skłodowski, Maria i Franciszek Karłowscy, p. Komor.

Pani Krystyna opowiedziała mi również, czym zajmowała się młodość w naszym wieku. Kiedyś dzieci nie miały takich wygód jak my teraz. Opowiadała, że jeśli chciały zagrać w piłkę, najpierw któryś z rodziców musiał tę piłkę uszyć z materiału, wypchać środek i dopiero wówczas można było rozpocząć grę. Koleżanki i koledzy pani Krystyny najchętniej grali w dwa ognie. Lubli też grę w klasy, zabawę w ganianego. Dzieci spędzały dużo czasu na świeżym powietrzu, potrafiły sobie same zorganizować czas wolny.

Pani Krystyna opowiedziała mi o wycieczce, na którą wybrali się podczas nauki w szkole. Do Wyszkowa zawiózł ich wozem jeden

z mieszkańców Trzcianki, zaś do domu wracali pieszo. Jej ulubionym przedmiotem szkolnym był język polski, uczyła się też matematyki, geografii, historii i przyrody. Powiedziała mi, że do dzisiejszego dnia utrzymuje kontakt z jedną ze swoich szkolnych przyjaciółek – panią Krystyną Oleksiak, która odwiedza ją każdego roku. Utrzymują również kontakt telefoniczny, zatem ich przyjaźń przetrwała długie lata.

Podczas naszej rozmowy poruszyliśmy również czasy wojny. Pani Krystyna była wówczas małą dziewczynką, ale pamięta o wydarzeniach, o których opowiadała jej matka i dziadkowie. W ich domu, podczas wojny, Niemcy założyli swoją radiostację.

– *Pamiętam – mówi – kiedy żołnierze niemieccy po otrzymaniu komunikatu, zaczęli odliczanie. Zatykaliśmy uszy, gdyż po chwili słychać było wystrzały z armat.* Podczas naszej rozmowy dowiedziałam się, że przez pewien czas w ich domu rodzinnym był także niemiecki szpital polowy. W tym czasie brat Krystyny – Zdzisław – ciężko zachorował. Przeżył dzięki interwencji niemieckiego lekarza, który zbadał go, postawił diagnozę i dał odpowiednie leki. Udzielił wskazówek, jak je spożywać i co robić. – *Jak widać, nawet wśród niemieckich żołnierzy byli życzliwi ludzie.* – powiedziała pani Krystyna.

W trakcie rozmowy zapytałam panią Krystynę jakie czasy wspomina najlepiej, a jakie najgorzej oraz jakie wydarzenie z dzieciństwa utkwilo jej w pamięci najbardziej. Powiedziała, że najmilej wspomina swoją Pierwszą Komunię Świętą, a w pamięci utkwil jej piękny, biały ubiór. Najgorzej wspomina dzień, gdy do sklepu należącego do jej rodziny włamali się złodzieje, którzy zabrali pieniądze oraz część towarów. Z czasów dzieciństwa w jej pamięci najgłębiej zapadł dzień, kiedy do ich domu przyszli jacyś ludzie i zabrali jej ojca. Pamiętała, że krzyczeli, że dom jest obstawiony. Wystraszoną Krysię z pokoju zabrała matka i mocno ją przytuliła. Po chwili rozległ się strzał i dowiedziała się potem, że wówczas zabito jej ojca.

Na zakończenie naszej rozmowy pani Krystyna powiedziała, że od czasów jej dzieciństwa bardzo dużo się zmieniło w naszej miejscowości. Obecnie we wsi są piękne, duże domy, zadbane ogródki i podwórka.

Mamy wiele wygod: asfaltowe drogi, dostęp do różnych mediów. Dziś żyje się ludziom o wiele wygodniej. Każdy powinien nauczyć się doceniać, co ma w życiu, gdyż dawniej o takich warunkach życia ludzie mogli tylko snuć wyobrażenia.

Podziękowałam za rozmowę, z której dowiedziałam się wiele o życiu pani Krystyny, jej rodziny, koleżanek i kolegów. Sądzę, że dla nas, młodych ludzi, takie rozmowy są bardzo cennym źródłem wiedzy. Warto wracać do przeszłości, poznawać ją i odkrywać coś nowego.

Przy skubaniu gęsi

Zuzanna Zdziarstek, klasa VI

– opowieść dziadka Zygmunta

Bohaterem reportażu jest mój dziadek Zygmunt. Zawsze lubiłam słuchać jego ciekawych opowiadań o czasach dzieciństwa i młodości. Teraz chciałabym zebrać te wspomnienia i poznać w całości historię jednego z mieszkańców naszej miejscowości. Będzie to relacja człowieka, który urodził się w Trzciance, tu się wychował, tu chodził do szkoły, pracował i tu mieszka nadal ciesząc się dobrymi zmianami we wsi i miłością swoich bliskich.

Zygmunt Zdziarstek – mój dziadek, urodził się w maju 1938 roku. Opowiadanie o swoim dzieciństwie rozpoczął od momentu zakończenia drugiej wojny światowej. Miał wówczas 7 lat i rozpoczął naukę w szkole. Nauczanie w tamtym czasie znacznie różniło się od współczesnego szkolnictwa. Lekcje odbywały się w dwóch prywatnych domach. Do jednej klasy uczęszczały dzieci z czterech roczników, łącznie około 70 osób. Z uwagi na dużą liczebność, uczniowie zostali podzieleni na dwie grupy i chodzili do szkoły na dwie zmiany: rano i po południu. Ławki były drewniane, miały zagłębienia na kałamarz z atramentem. W pierwszej klasie dzieci pisały ołówkami, ale w kolejnych używano piór, co nie było łatwe. Pióra szybko się psuły lub pozostawiały liczne kleksy.

W szkole dziadka Zygmunta były zajęcia z języka polskiego, matematyki, przyrody, plastyki i religii. Jego nauczycielami byli państwo Karłowscy, pani Książkówna, pani Wołoszynowicz, pan Składanowski, pan Nieżyjewski i pani Kupis – najmłodsza nauczycielka. Najbardziej w pamięci utkwił mu państwo Karłowscy – byli wyjątkowo surowi i wymagający.

Czas, w którym przyszło wychowywać się mojemu dziadkowi mogą się wydawać mojemu pokoleniu surową szkołą przetrwania. Trudno jest dzisiaj zrozumieć, że kiedyś dzieci nie miały butów i ubrań. Nosily to, co uszyli lub zrobili dla nich rodzice. Kobiety wyrabiali na krosnach

kalesony, koszule, prześcieradła. Wszystko powstawało z naturalnych surowców: materiały z lnu, pierzyny i poduszki z puchu. W każdym gospodarstwie było chociaż kilka gęsi. Kobiety licznie zbierały się ich skubanie. Przy tej pracy było mnóstwo rozmów, śmiechu, plotek, ale dzięki temu nocą pod pierzyną z prawdziwego puchu nikt nie marzł. Buty, tzw. „drewniaki” wyrabiali już głównie mężczyźni, miały skórzane wierzchy i drewniane spody, obijane dookoła gwoździkami.

Dzieci i młodzież po szkole nie miały dużo wolnego czasu. Na wsiach było mnóstwo obowiązków dla każdego członka rodziny, niezależnie od tego czy był dorosłym, czy dzieckiem. Wszyscy ciężko pracowali w polu przy zasiewach, sadzeniu ziemniaków, a potem podczas zbierania plonów, sianokosach i ponownym przygotowaniu ziemi do kolejnych zasiewów. W domu czekały zwierzęta, które należało oporządzić. Na zabawę zostawało tak naprawdę niewiele czasu, może dlatego sprawiała ona tyle radości.

Dziadek opowiadał, że pomysłowość dzieci, ich kreatywność były zaskakujące. Nikt nie musiał im organizować i podpowiadać sposobu na spędzanie wolnego czasu. Dzieci wykorzystywały każdą chwilę na to żeby spotkać się i pograć w szmacianą piłkę, urządzić sobie biegi na 500 czy 800 metrów, czy skakać nad prymitywnie wykonaną poprzeczką. Nikt nie potrzebował tu oryginalnego obuwia, specjalistycznego sprzętu.

Drugą wojnę światową i okupację dziadek Zygmunt zapamięta na zawsze. Walki Niemców, bestialskie mordowanie bezbronnych mieszkańców, usiłowanie zabicia jego ojca. Także wkroczenie Rosjan na polskie ziemie było ostatecznym ciosem dla naszej okolicy. Dziadek do dziś ma przed oczami widok spalonej, zniszczonej Trzcianki. Po zadbanej i dobrze zagospodarowanej wsi zostały zgliszcza i pogorzelsko.

W naszej miejscowości mieszkali w większości Polacy. Czasami byli rosyjscy i niemieccy żołnierze, ale tylko przelotnie. Dziadek mało pamięta Żydów, ponieważ ukrywali się przed Niemcami. Niemcy w okrutny sposób traktowali tych ludzi: prześladowali ich, bili, łapali i wywozili do obozów, znęcali się i zabijali ich. Tak samo traktowali wszystkich, którzy ukrywali lub w inny sposób pomagali Żydom. W okolicy mieszkali

wyłącznie rzymscy katolicy. Kościół w Trziance, który stoi do dziś został wybudowany w 1831 roku.

Po wojnie mieszkańcy, którzy ukrywali się po lasach i ziemiankach, zaczęli wracać i odbudowywać swoje domy. Wozili drzewo z lasu, bo w tamtych czasach było ono podstawowym materiałem budowlanym. Dopiero później, za czasów Gierka¹, zaczęto budować domy murowane. Zwiększono hodowlę zwierząt gospodarskich. Cała wieś powoli powstawała na nowo i rozwija się do chwili obecnej.

Na początku główną żywicielką w gospodarstwach były krowy. Dzięki nim ludzie mieli masło, mleko, ser. Później zaczęto hodować kury i świnie. Jednak zwierząt i jedzenia nie było wówczas pod dostatkiem, tak jak dzisiaj.

Po wojnie nie było nawet cukru, zamiast niego używano się sacharyny w kształcie krążków. Nie było gotowych leków, a do robienia ich domowym sposobem wykorzystywano właściwości roślin np. przykładano liście, stawiano bańki ze spirytusem, podawało się syropy z roślin. Nie można było też kupić pieczywa, więc każdy wypiekał je sam. Żyto mielono w żarnach, zbudowanych z dwóch kamieni. Ziarno musiało być suche. Sypało się je na jeden kamień, drugi je miało, a zmielone leciało do misy. Najpierw robiło się zakwas, który musiał wyrosnąć, potem trzeba było go wygnięć i nareszcie można było piec chleb. Dziadek opowiedział, że jego mama zawsze robiła taki chleb w dzieży². Wsuwała go łopatką do pieca i piekła, aż się zarumieniło. Kiedy jego rodzice jeździli do miasta sprzedawać jajka, masło, przywozili biały chleb, na który czekał każdy, a w szczególności dziadek. Później już zaczęli przywozić trochę wędlin i innych produktów spożywczych.

Mówiąc o swoim dzieciństwie, dziadek Zygmunt zawsze wraca do historii patrona naszej szkoły – Piotra Kulasińskiego. Podczas okupacji Piotr Kulasiński prowadził działalność oświatową, organizował tajne nauczanie, tzw. „kursy wieczorowe”. Po wyzwoleniu za cel obrał

1 Edward Gierek (1913–2001) – działacz komunistyczny, w latach 1970–1980 I sekretarz Komitetu Centralnego Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej.

2 Dzieża – naczynie służące do wyrastania ciasta chlebowego.

sobie budowę szkoły. Nie było to łatwe zadanie i spotkało się z brakiem wsparcia ze strony ówczesnych władz. Budowniczy mógł liczyć na siebie oraz mieszkańców Trzianki i Ojcowizny. Były organizowane różne uroczystości, podczas których udawało się zebrać środki na budowę. Pan Kulasiński kierował budową, ustalał kolejność i osoby odpowiedzialne za poszczególne prace. W ciągu 5 miesięcy została zbudowana duża solidna, drewniana szkoła, w której rozpoczęto naukę już we wrześniu 1946 roku.

Wszyscy znali i szanowali Piotra Kulasińskiego. Ten człowiek był dla mieszkańców Trzianki i okolicznych miejscowości prawdziwym bohaterem: zbudował szkołę, remizę i dużo pomagał ludziom w tych trudnych czasach.

Dla dziadka Zygmunta najtrudniejsze były lata po zakończeniu edukacji, czyli po 1952 roku. Skończył wówczas 17 lat i poszedł do pracy. Trzeba było mieć trochę pieniędzy na najdrobniejsze wydatki takie jak jedzenie, ubrania. Dziadek jeździł do Warszawy, do pracy w piekarni. Oczywiście nie zapomniał o rodzicach. Pomagał im zarówno w gospodarstwie jak i wspierał finansowo.

Czasy narzucania w Polsce komunizmu były również bardzo niebezpieczne dla mieszkańców Trzianki i okolic. Ludzie bali się źle wypowiadać o Stalinie i jego rządach, bo można to było przepłacić życiem. Sąsiedzi bali się siebie, społeczeństwo było zastraszone.

W okresie powojennym pierwsze wybory zorganizowano w 1947 roku. Same wyniki wyborów sfałszowano i władza trafiła w ręce komunistów. Wybory co prawda odbywały się regularnie, ale regularnie również były fałszowane. Wszystko odbywało się pod nadzorem uzbrojonego wojska. Mieszkańcy głosowali, jak im nakazano. Kiedy 5 marca 1953 roku Stalin umarł, zorganizowano ogólnonarodową żałobę.

Dziadek nie zmieniał miejsca zamieszkania, a swój obecny dom wybudował na miejscu tego, w którym mieszkał w dzieciństwie. Wychował się w Trziance, tu się ożenił, wychował dzieci i doczekał wnuków. Tak pamięta swoje dotychczasowe życie: pomoc rodzicom w gospodarstwie, szkoła, praca. Jego przyjaciele z dziecięcych lat rozeszli się po świecie:

jedni poszli do wojska, a inni do seminarium duchownego bądź do zakonu, jeszcze inni zdobyli wysokie stanowiska. Jeden z kolegów dziadka został księdzem i był Rektorem Uniwersytetu w Rzymie. Dzisiaj są to ludzie w wieku około 80 lat, ale pomysł mojego dziadka o spotkaniu po latach przyjęli z entuzjazmem. Przybyło wiele osób, którym zdrowie na to pozwoliło. Widać, że dla tych ludzi drugi człowiek, wspólnie przeżyte niełatwe lata dużo znaczą.

Bardzo dziękuję dziadkowi, że poświęcił tyle czasu, przywołał tyle wspomnień, żebyśmy mogli dowiedzieć się jak dawniej żyli ludzie w naszej okolicy, z jakimi problemami musieli się zmierzyć.

Po tym wywiadzie długo myślałam i zastanawiałam się, jak dziadek mógł żyć w tak trudnych czasach. Opowiadał o nich, ale się nie skarżył, nie narzekał – więcej: wciąż ma w sobie pozytywne nastawienie do świata i ludzi. Może powinniśmy zastanowić się, czy rzeczywiście mamy dzisiaj powody do narzekań?

Kiedyś dla dzieci było problemem, czy mają w ogóle w co się ubrać i co założyć na nogi, a teraz, czy moje ubrania i buty są odpowiednio drogie i markowe, czy nie narażę się na ośmieszenie w szkole, bo może już wyszły z mody.

Oczywiści, że czasy się zmieniają wszystko idzie z postępem. Po to są wynalazki, udogodnienia żeby było lepiej, ale zmiany mają też wiele negatywnych skutków. Materializm, który zawładnął światem zmienił cały system wartości. Ludzie już nie potrafią się cieszyć z małych rzeczy. Gonią za bogactwem i sławą.

Dziś rodzice zabiegają i wymyślają jakie zajęcia pozaszkolne wymyśleć dzieciom, żeby się nie nudziły i miały trochę ruchu. Kiedyś żaden dorosły nie miał czasu na takie rzeczy, a dzieci nie potrzebowały pomocy w zagospodarowaniu wolnego czasu, o ile go miały.

Jak było dawniej

Zofia Zalewska, klasa VI

– historia pana Mieczysława Konarzyckiego

Rozmawiałam z Panem Mieczysławem Konarzyckim. Poszłam do niego, ponieważ w mojej okolicy wydawał mi się on najstarszym i najbardziej przyjaznym. Kiedy weszłam do jego domu, przedstawiłam się i wytłumaczyłam, o co chodzi. Pan Mieczysław od razu mnie przyjął i zaczął opowiadać różne ciekawe historie. Bardzo ucieszyłam się, że Pan Mieczysław się tak zainteresował i z radością opowiedział mi swój skromny życiorys z dzieciństwa, a ja słuchałam z zaciekawieniem.

Urodził się w Trzciance, w marcu 1934 roku. Miał 5 lat kiedy zaczęła się II wojna światowa. W czasie wojny Trzciankę zamieszkiwali Niemcy, Żydzi, Rosjanie i Polacy. Rodzice Pana Mieczysława zajmowali się przede wszystkim rolnictwem, ponieważ nie mieli pracy zawodowej. Gdy Pan Mieczysław był w moim wieku od rana pasał krowy, to było jego główne zajęcie. Bardzo dużo pomagał w polu rodzicom. Inne dzieci także to robiły. Pan Mieczysław dosyć często chodził z przyjaciółmi do lasu, gdzie były okopy, czasami bawili się tam w chowanego. To były trudne czasy dla jego rodziny i przyjaciół. Pan Mieczysław miał starszego brata Czesława, który zginął broniąc dzielnie naszej ojczyzny.

Kiedy był w moim wieku zaczął chodzić do szkoły, która nie miała swojego osobnego budynku, a zajęcia odbywały się w wynajętych domach. Chodził uczyć się do domu u pana Żabika, ponieważ on miał dużo miejsca w swoim domu i się na to zgodził. Uczyła go wtedy pani Karłowska, którą najbardziej lubił, ponieważ umiała nauczać i to właśnie dzięki niej pan Mieczysław nauczył się pierwszych liter i cyfr. Po zakończeniu działań wojennych dzieci mogły się bawić swobodniej i było to bardzo przyjemne. Rozpalali ogniska, piekli ziemniaki i chleb – niestety w tamtych czasach trudno było dostać kawałek kiełbasy.

Gdy front się skończył Polska była bardzo uboga i biedna – brakowało jedzenia. Były takie dni, że nie było co jeść. Rodzina pana

Mieczysława miała krowy, od które dawały mleko, gdy nie było co jeść. Pan Mieczysław miał koleżanki i kolegów, którzy mu pomagali w trudnych sytuacjach i bawili się z nim. Chodzili w różne miejsca Trzcianki, lecz nie mogli oddalać się bardzo daleko. W Trzciance była piaszczysta droga, po której chodziły dzieci. Potem zrobili drogę asfaltową, żeby umożliwić lepsze i szybsze poruszanie się. Dwadzieścia lat później pan Mieczysław wziął ślub i zamieszkał ze swoją żoną. Mieszka z nią do dzisiaj w małym pokoiku.

Podziękowałam panu Mieczysławowi za rozmowę. Dowiedziałam się w tym czasie różnych ciekawych rzeczy, których dotąd nie wiedziałam. Zaczęłam rozmyślać, że to musiały być trudne czasy dla niektórych dzieci i dorosłych. Dzieci dorastały podczas Wojny Światowej to musiało być dla nich trudne.

**W PROJEKCIE WZIĘLI UDZIAŁ NAUCZYCIELE
I UCZNIOWIE Z NASTĘPUJĄCYCH SZKÓŁ:**

Publicznej Szkoły Podstawowej w Szewnicy

Gimnazjum w Zespole Szkolno-Przedszkolnym
nr 1 w Zakrocymiu

Publicznej Szkoły Podstawowej w Górznie
z Oddziałami Gimnazjalnymi

Gimnazjum przy Szkole Podstawowej
im. Stanisława Konarskiego w Raciążu

Szkoły Podstawowej im. Piotra
Kulasińskiego w Trzciance

SPIS AUTORÓW:

SZEWNICA – UCZNIOWIE PUBLICZNEJ SZKOŁY PODSTAWOWEJ W SZEWNICY

Damian Białek – uczeń klasy VI

Piotr Danielewski – uczeń klasy VI

Jakub Kursa – uczeń klasy VI

Patrycja Matera – uczennica klasy VI

Janina Nowak (uzupełnić?)

Oliwia Pietkiewicz – uczennica klasy VI

Jakub Piotrowski – uczeń klasy VI

Karolina Rodźko – uczennica klasy VI

Kacper Sadowski – uczeń klasy VI

Ernest Suchenek – uczeń klasy VI

Roksana Wojciechowska – uczennica klasy VI

ZAKROCZYM – UCZNIOWIE GIMNAZJUM ZESPOŁU SZKOLNO- -PRZEDSZKOLNEGO NR 1 W ZAKROCZYMIU

Andżelika Apel – uczennica klasy III b

Weronika Budnicka – uczennica klasy II a

Kamil Filipiak – uczeń klasy III c

Joanna Kalinowska – uczennica klasy II a

Sandra Lesiak – uczennica klasy III b

Jakub Lewandowski – uczeń klasy II a

Aleksandra Mąka – uczennica klasy III b

Kuba Szatkiewicz – uczeń klasy III b

Adrian Ślubowski – uczeń klasy III c

Jakub Waśniewski – uczeń klasy III c

**GÓRZNO – UCZNIOWIE PUBLICZNEJ SZKOŁY PODSTAWOWEJ W GÓRZNIE
Z ODDZIAŁAMI GIMNAZJALNYMI**

Daniel Chmielewski – uczeń klasy II a gimnazjum
Gabrysia Galińska – uczennica klasy II b gimnazjum
Jacek Gugąła – uczeń klasy II a gimnazjum
Iza Lis – uczennica klasy II b gimnazjum
Weronika Makulec – uczennica klasy II b gimnazjum
Patryk Malinowski – uczeń klasy II a gimnazjum
Kamila Owczarczyk – uczennica klasy II b gimnazjum
Klaudia Prządka – uczennica klasy II a gimnazjum
Gabriela Sylwesiuk – uczennica klasy II a gimnazjum
Karol Wiącek – uczeń klasy II b gimnazjum

**RACIĄŻ – UCZNIOWIE GIMNAZJUM PRZY SZKOLE PODSTAWOWEJ
IM. STANISŁAWA KONARSKIEGO W RACIĄŻU**

Piotr Ambrochowicz – uczeń klasy III gimnazjum
Aleksandra Derbin – uczennica klasy II klasy gimnazjum
Natalia Wiktoria Dębowska – uczennica klasy III klasy gimnazjum
Krystian Fijałkowski – uczeń klasy III
Paulina Kruszewska – uczennica klasy II
Krzysztof Langiewicz – nauczyciel
Dominika Skierkowska – uczennica klasy III
Aleksandra Szałkowska – uczennica klasy III
Karolina Trzcińska – uczennica klasy II
Zuzanna Wąsiewska – uczennica klasy II
Aleksandra Włodarska – uczennica klasy II

**TRZCIANKA – SZKOŁA PODSTAWOWA IM. PIOTRA KULASIŃSKIEGO
W TRZCIANCE**

Maksymilian Bajor – uczeń klasy VI
Oliwia Kurowska – uczennica klasy VI
Agnieszka Kurowska – uczennica klasy VI
Oliwia Nasiadka – uczennica klasy VI
Klaudia Pujer – uczennica klasy VI
Karolina Pułaska – uczennica klasy VI
Hubert Wróbel – uczeń klasy VI
Zofia Zalewska – uczennica klasy VI
Filip Zdziarstek – uczeń klasy VI
Zuzanna Zdziarstek – uczennica klasy VI